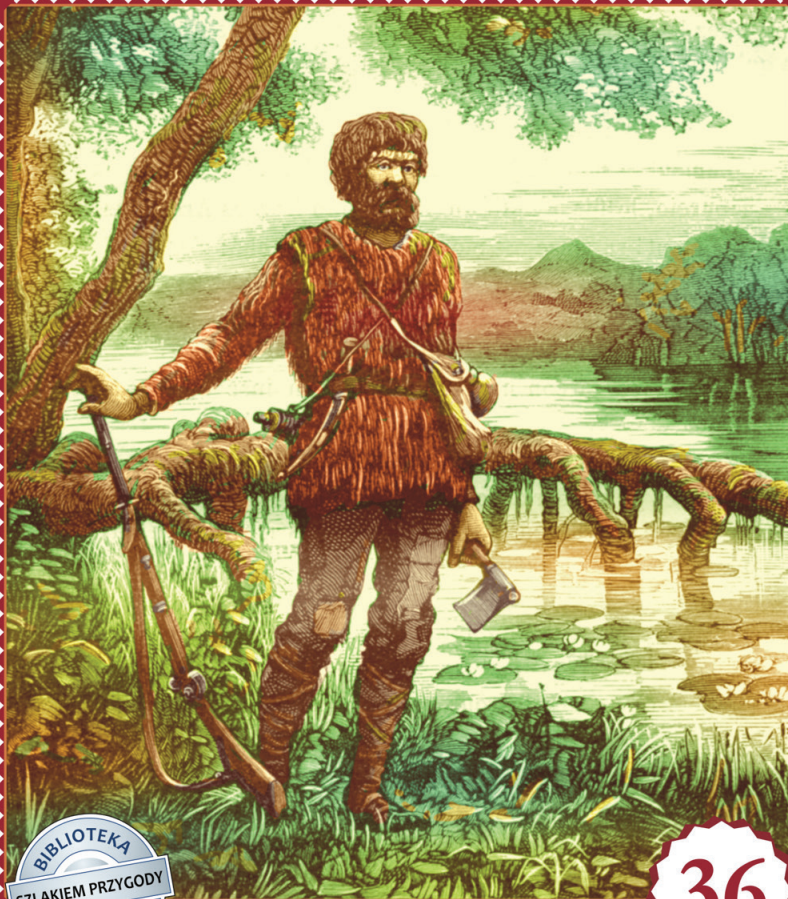




Gabriel Ferry

GOŃCY LEŚNI CZYLI POSZUKIWACZE ZŁOTA
CZĘŚĆ PIERWSZA



36

ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)

ISBN 978-83-66980-09-9 (część 1)



**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gabriel Ferry
(LOUIS DE BELLEMARE)

**GOŃCY LEŚNI, CZYLI
POSZUKIWACZE SKARBÓW**

Część pierwsza



[Kup książkę](#)

Gabriel Ferry to przydomek literacki dwóch pisarzy francuskich, ojca, Eugène Louisa Gabriela Ferry de Bellemare (1809-1852) i syna, Gabriela de Bellemare, urodzonego w roku 1846, o nieznanej dacie śmierci.

Przodkowie Gabriela Ferry'ego byli bogatymi plantatorami na Haiti, wygnanymi stamtąd wydarzeniami rewolucji francuskiej. Jego ojciec Gabriel Denis przeniósł się do Anglii i Francji, zamieszkał w Grenoble gdzie zajmował się handlem z Ameryką Łacińską, zwłaszcza Meksykiem.

Gabriel Ferry uczył się w Collège Royal w Wersalu, w roku 1830 z polecenia ojca wyjechał do Meksyku, aby zajmować się jego interesami, do Francji wrócił w 1840. Mieszkał w stolicy, ale odbył wiele podróży po tym kraju, głównie do Sonory, gdzie zamierzał tworzyć osadnictwo francuskie. Podczas pobytu w Meksyku był świadkiem wielu burzliwych wydarzeń, wojny domowej, dyktatury Santa Anny, wspieranych przez Stany Zjednoczone powstań Komanczów i Apaczów na północy, buntów w Zapacetas, w Teksasie, który ogłosił niepodległość w roku 1835, rebelii Republiki Rio Grande, w Tabasco, na Jukatanie, wojny francusko-meksykańskiej w latach 1838-1839.

Wszystko to stanowiło doskonały bodziec do twórczości literackiej i Gabriel Ferry zaczął po powrocie do Francji pisać opowiadania osadzone w realiach meksykańskich, oparte na jego wspomnieniach, które cieszyły się sporą popularnością. Przyczynił się mocno do powstania we Francji mitu Dzikiego Zachodu, gdyż akcję swoich utworów umieszczał często na pograniczu meksykańsko-amerykańskim, który to mit pogłębiał później Gustave Aimard, wzorujący się mocno na Gabrieli Ferry'm.

Ferry pozostał w swej twórczości romantykiem, czerpiącym wiele z dzieł Fenimore'a Coopera, którego bohaterów przenosił z terenów Kanady do Meksyku, pozostawiając ich charakter. Pierwsze opowiadania zamieszczał w czasopismach, w tym w renomowanym „La revue des deux mondes” (lata 1847-1850), później wydawał je w zbiorach. Następnie pisał powieści, jak pełne egzotycznego kolorytu, gwałtownych zwrotów akcji, zbrodni, dramatów, walk i powstań, w które obfitowała historia Meksyku.

W sumie Gabriel Ferry jest autorem opowiadań, wspomnień z pobytu w Meksyku, prac popularyzujących wydarzenia historyczne tego kraju, kilku powieści. Podejrzewa się, że część z tych dzieł mogło wyjść spod pióra jego syna, używającego tego samego pseudonimu literackiego. W XIX wieku cieszyły się sporą popularnością, potem popadły w zapomnienie. Jego dzieła to *Costal l'Indien, ou Le dragon de la reine, scènes de la guerre de l'indépendance de Mexico, Les Coureurs des bois ou Les chercheurs d'or, Les Squatters, La Clairière du bois de Hugues, La Chasse aux Cosaques, La Famille de Jeanne d'Arc. Les aventures de Jehan d'Arc (1464-1465), Tancrede de Chateaubrun, Les prouesses de Martin Robert, histoire d'un humble, Les exploits du César: romain parisien, Les aventures du Français au pays du Caciques*. Były one tłumaczone na język angielski, hiszpański i niemiecki, także na polski przez Władysława Umińskiego, lecz były to przekłady bardzo luźne, np.: *Wędrowiec leśny, Skarb Sonory*.

Gabriel Ferry został mianowany przedstawicielem rządu francuskiego w Kalifornii podczas gorączki złota; zginął tragicznie podczas rejsu tam statkiem „Amazon”, który zatonął na Zatoce Biskajskiej w wyniku wywołanego uderzeniem pioruna pożaru.

Gabriel Ferry



GOŃCY LEŚNI, CZYLI POSZUKIWACZE SKARBÓW

Część pierwsza

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

[Kup książkę](#)

**Dziewięćdziesiąta piąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Trzydziesty szósty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Coueurs des bois ou les chercheurs d'or

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2021

97 ilustracji, w tym 24 karty tablicowe kolorowe: J.M. Guilliod
zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Andrzej Zydorczak

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2021

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)
ISBN 978-83-66980-09-9 (część pierwsza)

PROLOG

I Pepe Śpioch

Port Elanchovi na wybrzeżu Zatoki Biskajskiej przedstawia malowniczy i wspaniały krajobraz. Kiedy po moim powrocie z Ameryki, zapędzony przez jeden przypadków awanturniczego życia, pewnego dnia wylądowałem w Elanchovi, to jednak nie na krajobrazie skupiła się głównie moja uwaga, lecz na starożytnym zamku, być może jedynym istniejącym w Hiszpanii, który wznosił swoje dachy z łupku i gotyckie chorągiewki na szczycie najwyższej falezy¹. W tym starym zamku rozpoznałem miejsce, gdzie rozpoczęła się dramatyczna historia, opowiedziana mi w lasach stanu Sonora², kilka lat przed moim powrotem z Meksyku.

Pasma skał, na których wznosi się ten zamek, otacza mały port Elanchovi, chroniony mołem z ciosanego kamienia.

Tam, gdzie to niezbyt wysokie molo styka się z lądem, zaczynamy wspinać się na falezę po naturalnych stopniach, na których amfiteatralnie piętrzą się poszczególne domy.

Ulica wyglądająca jak jakieś gigantyczne schody tworzy samą wieś Elanchovi.

Ponieważ wszyscy mieszkańcy są rybakami, a z tego powodu są nieobecni w ciągu dnia, Elanchovi początkowo wydaje się całkowicie niezamieszkane, ale z dachów domów bez kominów unosi się dym z wieczornych posiłków przygotowywanych przez gospodynie. Od czasu do czasu w drzwiach chatek pojawia się żona, niepokojąca się

¹ *Faleza* (klif) – urwisko brzegu morskiego lub jeziornego powstające na wysokich wybrzeżach wskutek niszczycielskiej działalności fal.

² *Sonora* – tu: stan w północno-zachodnim Meksyku.

chmurą na horyzoncie, czy matka karmiąca piersią swoje dziecko, w jaskrawych spódnicach i podwójnych warkoczach opadających aż do kolan. Jedna zaniepokojonym wzrokiem przebiega bezmiar morza, druga przyzwyczają syna do słonego zapachu morskich wodorostów i alg oraz cierpkości morskiego wiatru.

Obie ze smutkiem wsłuchują się w pogwizdującą bryzę¹, która zaledwie porusza drżące wody portu, wyje na tych odartych z roślin wyniosłościach, usuwa i rozprasza kłaczki dymu oraz obraca pstrokatymi łachmanami rozwieszonymi w nieładzie przy wejściach do chat.

Taki jest widok dzisiejszej wioski Elanchovi, której cisza i samotność na jej szczycie, a huk bałwanów rozbijających się u podnóża dominujących na nią falez, wzbudzają zarazem uczucie przerażenia i melancholii.

W listopadzie 1808 roku w Elanchovi panowała jeszcze smutniejsza atmosfera. Bliskość armii francuskiej zmusiła do ucieczki część jej mieszkańców, którzy zapominając w swym strachu, że ich ubóstwo chroni ich przed wszelkimi stratami, odpłynęli łodziami, aby uciec przed napadem, którego się lękali.

Historia zamku Elanchovi jest ściśle związana z historią gońca leśnego².

Ten zamek należał do rodziny de Mediana i stanowił część bogatego majoratu tego starożytnego rodu. Od dawna hrabiowie de Mediana nie zamieszkiwali w tej dzikiej samotni, gdy na początku 1808 roku pojawiła się tam głowa rodziny, starszy syn ostatniego hrabiego o tym nazwisku. Przywiózł on tam swoją młodą żonę i dziecko. Będąc wyższym oficerem w hiszpańskiej armii, don Juan de Mediana wybrał ten zamek jako bezpieczne schronienie dla swej żony doñi³ Luisy, którą namiętnie kochał. O jego wyborze zdecydowała także inna

¹ Bryza – wiatr poranny lub wieczorny, powstający wskutek nierównomiernego nagrzewania się powierzchni lądu i morza; w nocy wieje znad lądu, w dzień znad morza.

² *Goniec leśny* (fr. *coureur des bois*) – określenie myśliwych i traperów, którzy w XVII i XVIII wieku wyruszyli z Nowej Francji na północny zachód dzisiejszych Stanów Zjednoczonych i południowy zachód Kanady po futra dzikich zwierząt (zwłaszcza bobrów), które pozyskiwali samodzielnie lub nabywali od Indian.

³ *Doña* – tytuł grzecznościowy używany w Hiszpanii, łączony tylko z imieniem.

przyczyna: alkad¹ Elanchovi był jego dawnym sługą, więc liczył na jego poświęcenie dla rodziny, skoro ta wyniosła go na urząd, który obecnie zajmował. Don Ramon Cohecho – tak brzmiało nazwisko pierwszego urzędnika Elanchovi.

W przeddzień rozstania, którego wymagały obowiązki wojskowe, ta surowa rezydencja była stosowna na początku małżeństwa zawartego pod smutnymi auspicjami². Młodszy brat don Juana, don Antonio de Mediana, także kochał doñię Luisę. Od czasu, kiedy zdecydowanie dokonała wyboru, opuścił kraj i więcej nie wrócił. Rozeszły się nawet pogłoski o jego śmierci, ale nic nie potwierdzało tych przypuszczeń.

Jakkolwiek było, don Juan niedługo pozostawał w Elanchovi, gdyż ważne rozkazy zmusiły go do skrócenia pobytu w zamku swych przodków. Odjechał, pozostawiwszy żonę pod specjalną opieką starego sługi. Odjechał i już nigdy nie powrócił, gdyż francuska kula ugodziła go w jedną z potyczek poprzedzających bitwę pod Burgos³.

Po zmańonych radościach pierwszych dni małżeństwa, dla doñi Luisy nastąpiły dni troski związane z przedwczesnym wdowieństwem. Historia ta zaczyna się w listopadzie 1808 roku, w chwili, kiedy zamek Elanchovi był ponurym świadkiem boleści hrabiny de Mediana.

Chociaż odosobniony na wybrzeżu Zatoki Biskajskiej, port Elanchovi posiadał garnizon złożony z mikeletów⁴ straży przybrzeżnej. Smutna było ich ówczesna sytuacja. Rząd hiszpański bynajmniej nie kwestionował ich żołdu, ale ciągle zapominał o jego wypłacie. Z drugiej zaś strony przemysł, mogący czasem zasilić ich kieszenie, zupełnie obumarł. Przemysłowcy bardzo wystrzegali się stawiać czoła ludziom, których potrzeba zmuszała do podwojenia czujności. Począwszy od

¹ Alkad (z hiszp. *alcalde* – sędzia) – burmistrz w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej.

² Auspicje (z łac. *auspicium*) – przepowiednie, przewidywanie przyszłości i odgadywanie woli bogów.

³ Bitwa pod Burgos – bitwa stoczona 7 listopada 1808 roku w trakcie hiszpańskiej kampanii Napoleona; silny korpus francuski marszałka Jean-Baptiste Bessièresa pokonał w boju, a następnie zniszczył mniej liczne i źle dowodzone siły hiszpańskie księcia Belvedere’a, otwierając armii cesarskiej drogę w głąb kraju.

⁴ Mikelet (kat. *miquelet*) – hiszpański gwardzista; także pirenejski partyzant.

kapitana karabinierów don Lucasa Despierto, aż po najniższego urzędnika – wszyscy pozostawali nieustannie czujni, z czego wynikało, że nie wydając ani grosza, hiszpańskie organy podatkowe były tym oszczędniejsze, im wiernej im służono.

Jeden z tych przybrzeżnych strażników okazywał wobec przemysłników zupełny sceptycyzm, zaprzeczając nawet, żeby kiedykolwiek istnieli. Znany był z tego, że zawsze zasypiał na swoim posterunku i jego udana lub rzeczywista obojętność zjednała mu przewisko Śpiocha, które uzasadniał jak najlepiej potrafił.

Rzadko więc wyznaczano go do straży w jakimkolwiek miejscu wybrzeża.

José, albo bardziej poufale Pepe, był dwudziestopięcioletnim młodzieńcem, wysokim, szczupłym i silnie zbudowanym. Jego czarne oczy głęboko osadzone pod gęstymi brwiami, musiały być niegdyś błyszczące. Twarz za to odznaczała się rysami, które odznaczała ruchliwość. Czy to jednak na skutek choroby albo z jakiejś innej przyczyny, jego oblicze wydawało się jakby marmurowe, tak że unosiła się nad nim zwykła atmosfera senności. Jednym słowem Pepe przy wszelkich zewnętrznych oznakach aktywnego ciała i ognistej duszy wydawał się najbardziej apatycznym z ludzi.

Jego pozorne niezadowolenie było nadzwyczajne, gdy wieczorem w dniu, w którym rozpoczyna się ta historia, kapitan don Lucas Despierto posłał po niego na posterunek i kazał się stanowić osobiście u siebie. Otrzymawszy ten nieoczekiwany rozkaz, Pepe wstał, przeciągnął się, ziewnął i wyszedł, mówiąc:

– Co za diabelska fantazja przyszła kapitanowi do głowy, by po mnie przysłać?

Kiedy jednak był już sam, strażnik zwawiej niż zwykle pospieszył do mieszkania swego przełożonego. Gdy wszedł, kapitan był bardzo zajęty, tak że nie słyszał otwierających się drzwi.

Mikelet wydawał się drzemać, miętosząc papierosa w palcach.

– Jestem, panie kapitanie – rzekł Pepe, z uszanowaniem kłaniając się don Lucasowi.

– No dobrze, mój chłopcze – zaczął kapitan dobronudnym tonem. – Ciężkie czasy, nieprawdaż?

- Coś o tym słyszałem.
- Wyobrażam sobie – rzekł z uśmiechem don Lucas – że mizeria tych czasów dosięga cię tylko w połowie, bo zawsze śpisz.
- Gdy śpię, to nie chce mi się jeść – odparł Pepe, tłumiąc ziewanie – a przy tym śni mi się, że rząd mi płaci.
- Jesteś więc jego wierzyicielem tylko przez cztery godziny dziennie. Teraz jednak, mój chłopcze, nie o to chodzi. Tego wieczora pragnę ci dać dowód mego zaufania.
- Ach! – mruknął Pepe.
- A zarazem przychylności. Rząd wszystkich nas obserwuje. Zaczyna się rozpowszechniać twoja reputacja apatycznego człowieka i możesz zostać zwolniony jako niepotrzebny strażnik. Byłoby to smutne dla ciebie, gdybyś był pozbawiony stanowiska.
- Okropne, panie kapitanie – odrzekł Pepe z doskonałą dobroduszością – bo jeżeli umrę z głodu, zajmując swoje stanowisko, nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym go nie miał.
- Pragnąc uniknąć takiego nieszczęścia, postanowiłem dostarczyć tym, którzy by mogli cię oczernić, dowód zaufania, jakie w tobie pokładałam, dając ci tej nocy na posterunek w Ensenada.
- Pepe mimowolnie szeroko otworzył oczy.
- Dziwi cię to? – zapytał don Lucas.
- Nie – odpowiedział Pepe.
- Kapitan nie mógł ukryć lekkiego drżenia przed swym podwładnym.
- Jak to „nie”? – zapytał.
- Kapitan Despierto – odpowiedział pochlebny głosem Pepe – jest dostatecznie znany ze swej czujności i nieomylnego oka, aby nawet móc bez żadnego niebezpieczeństwa powierzyć najważniejszy posterunek najnieudolniejszemu ze swoich podwładnych, dlatego nie dziwię się, że chce mi pan go powierzyć. Teraz czekam na rozkazy, jakie Wasza Wysokość mi wyda.
- Don Lucas wydał mu polecenia w tak rozwlekły sposób, że może trudno byłoby wszystkie zapamiętać, i odprawił go, mówiąc:
 - Przede wszystkim nie zaśnij na posterunku.
 - Spróbuję, panie kapitanie – odparł Pepe.

„Ten chłopiec jest nieoceniony. Zrobiłbym to celowo, gdybym miał odnieść sukces” – pomyślał don Lucas gdy Pepe wyszedł i z zadowoleniem zatarł ręce.

Mała zatoka, zwana Ensenada, którą powierzono Pepemu Śpiochowi, była tak tajemniczo obramowana skałami, że wydawała się jakby naumyślnie wydrążona, by zachęcać do przemytu, lecz nie temu, który spokojnie się odbywa na rogatkach naszych miast, ale temu, który tak śmiało prowadzą hiszpańscy przemytnicy ze sztyletami i sztucerami w rękach.

Przez swoje odosobnienie stanowisko to nie było pozbawione niebezpieczeństwa, kiedy podczas mglistej nocy listopadowej, opary oceanu zawieszają się na kształt baldachimu w atmosferze, odejmując wzrokowi możliwość przenikania i tłumią głos wzywający pomocy.

Nikt nie mógłby rozpoznać Pepego Śpiocha, zwykle pogrążonego w głębokim śnie, człowieka o głupekowatym obliczu, o ciężłym chodzie, nikt, jak powiedzieliśmy, nie mógłby go rozpoznać w żołnierzu, przybyłym z podniesioną głową i sprężystym krokiem, by zacząć pełnić swoją straż. Jego oczy, zwykle przymknięte, zdawały się błyszczeć w ciemnościach, by rozwikłać najmniejsze tajemnice.

Po ostrożnym poprowadzeniu we wszystkich kierunkach swej ślepej latarni¹, której stożek światła przekonał go, że był zupełnie sam, mikelet tak ją ustawił, że oświetlała wydrążoną ścieżkę prowadzącą do wioski, i otuliwszy się płaszczem, położył się dziesięć kroków dalej, tak by móc widzieć zarówno ścieżkę, jak i zatoczkę.

– Ach, kapitanie! – rzekł do siebie. – Jesteś mądrym człowiekiem, ale za bardzo ufasz ludziom, którzy ciągle śpią. A co, u diabła, jeśli uwierzę, że jesteś zainteresowany tym, czy głęboko będę spał tej nocy. Kto wie? – kontynuował, poprawiając się najlepiej, jak potrafił, w swoim płaszczu.

Przez około pół godziny Pepe pozostawał sam na sam ze swymi myślami, śledząc kolejno wzrokiem zatokę i wydrążoną drogę. Pod koniec tego czasu dosłyszał skrzypienie piasku na ścieżce, później

¹ *Ślepa latarnia* – latarnia z ruchomą przesłoną, ukierunkowującą światło.

w świetle rzucanym rzez latarnię ukazała się jakaś czarna postać i wkrótce można było wyraźnie zobaczyć kapitana mikeletów. Wydawało się że przez kilka minut czegoś szuka. W końcu dostrzegłszy leżącego nocnego strażnika, zawołał półgłosem:

– Pepe!

Pepe nie zamierzał odpowiedzieć.

– Pepe – powtórzył trochę głośniejszym głosem kapitan.

Mikelet ciągle uporczywie milczał. Potem głos don Lucasa przestał być słyszalny i wkrótce odgłos jego kroków zamilkł w oddali.

„Dobrze! – pomyślał Pepe. – Przed chwilą byłem tak głupi, że jeszcze powątpiewałem, ale teraz już nie. W końcu przemytnik ośmieszył się zaryzykować. Byłbym bardzo niezręczny, gdybym nie miał z tego skorzystać, nawet kosztem mego przełożonego”.

Strażnik jednym skokiem zerwał się na nogi.

– Tutaj nie jestem już Pepem Śpiochem – powiedział, prostując się na całą wysokość.

Upłynęło kolejne pół godziny, podczas której przybrzeżny strażnik nie dostrzegł nic oprócz ogromu pustki. Nic nie przerywało ciągłości białawej linii, którą nakreślało morze, zlewając się z niebem. Wielkie czarne chmury kolejno zakrywały i odsłaniały wschodzący właśnie księżyc i czy horyzont na przemian świecił jak roztopione srebro, czy też był czarny jak pogrzebowa krepka, żaden przedmiot nie zwiastował na oceanie obecności ludzi.

W spojrzeniu mikeleta malowało się takie natężenie, że zdawało mu się, iż widzi migoczące przed nim iskry. Znużony tą ciągłą uwagą, zamknął oczy i całą potęgę swoich organów skoncentrował na swoim słuchu. Nagle słaby szelest prześlizgnął się po powierzchni wód i dotarł do jego ucha; potem lekki powiew od lądu odsunął dźwięk nad pełne morze i od tej chwili nic już nie usłyszał. Nie wiedząc, czy stał się igraszką iluzji, mikelet znów otworzył oczy, ale ciemności nocy nie pozwoliły mu nic zobaczyć.

Zamknął je więc z powrotem, by ponownie posłuchać. Tym razem do jego uszu dobiegł rytmiczny szmer, podobny do tego, jaki

wydają wiosła dyskretnie zanurzające się w wodę, i słaby skrzyp dulek¹.

– Wreszcie się doczekałem! – rzekł z westchnieniem zadowolenia Pepe.

Na horyzoncie pojawiła się prawie niezauważalna czarna kropka, po czym szybko się rozrosła i wkrótce pojawiła się łódź, a za nią niewielka bruzda piany.

Pepe pospiesznie położył się na brzuchu w obawy, by jego sylwetka nie została dostrzeżona z łodzi, ale z wyniosłości, na której się znajdował, ani na chwilę nie mógł stracić jej z oczu. Wkrótce zobaczył, że się zatrzymała, wiosła zawisły nieruchomo jak skrzydła szybującego morskiego ptaka wybierającego stronę, gdzie ma ulecieć, po czym nagle wznowiła swój ruch ku wybrzeżu zatoki.

– Nie wahajcie się – szepnął mikelet – czujcie się jak u siebie w domu.

Rzeczywiście, wioslarze zdawali się być pewni, że nie będą niepokojeni i kilka sekund później pod kilem łodzi zazgrzytały otoczaki wybrzeża.

– Ho, ho! – szepnął Pepe. – Ani jednej paki towarów! Czyżby przypadkowo nie byli przemytnikami?

W łodzi znajdowało się trzech ludzi i wydawało się, że podejmują tylko niezbędne środki ostrożności, aby zbyt głośno nie zakłócać nocnej ciszy. Ich ubiory nie wyglądały na te, które zwykle noszą przemytnicy.

– Kim, do jasnej cholery, mogą być ci ludzie? – zapytał sam siebie mikelet.

Przez kępy żółkłej trawy otaczające grzebień stoku, gdzie znajdował się Pepe, i wznoszące się nad jego głową, mógł przypatrywać się temu, co robią trzech nieznajomi w łodzi. Na rozkaz dany przez człowieka siedzącego przy sterze pozostała dwójka wyskoczyła na ziemię, aby zorientować się w miejscu zatrzymania, pozostawiając w łodzi tylko tego, który wydawał się ich przywódcą.

¹ *Dulka* – podparcie wiosła w postaci obrotowych widełek mocowanych na burcie łodzi lub okutego otworu.



Pozostał zatem nieruchomy i nawet wstrzymał oddech, gdy dwaj osobnicy, każdy uzbrojony w kataloński nóż, przechodzili o kilka stóp pod nim.

Pepe przez chwilę był niezdecydowany, nie wiedząc czy ma pozwolić im wejść na wydrążoną ścieżkę, ale widok łodzi pozostawionej pod dozorem tylko jednego człowieka pomógł mu w podjęciu decyzji. Pozostał zatem nieruchomy i nawet wstrzymał oddech, gdy dwaj osobnicy, każdy uzbrojony w kataloński nóż, przechodzili o kilka stóp¹ pod nim.

Wówczas zdołał dostrzec, że marynarski ubiór, który mieli na sobie jeden i drugi, był podobny do tego, jaki nosili ówcześni korsarze. Był czymś pośrednim między mundurem królewskiej marynarki wojennej i swobodnym odzieniem ludzi z floty handlowej. Pepe nie mógł jednak rozróżnić rysów twarzy przemytników, ukrytych pod baskijskimi beretami. Nagle obaj marynarze zatrzymali się. Kawałek krawędzi stoku obruszonego kolanami Pepeggo zsunął się powoli po stoku falezy.

– Słyszałeś coś? – zapytał jeden z nich.

– Nic, a ty?

– Wydawało mi się, że usłyszałem, jakby coś spadło stamtąd – powiedział, wskazując miejsce, nad którym karabinier leżał twarzą ku ziemi.

– Ba! To jakaś leśna mysz wracająca do swej norki.

– Gdyby ten stok nie był tak urwisty, wdrapałbym się na niego – rzekł pierwszy.

– Powiadam ci, że nie ma się czego obawiać – odpowiedział drugi. – Noc jest czarna jak smoła, a poza tym czyż TAMTEN nie zapewniał nas, że pilnuje strażnik, który sypia po całych dniach?

– Tym bardziej w nocy może nie zmrużyć oka. Zostań tu, a ja przejdę się dookoła, a jeżeli znajdę tam naszego śpiocha – dodał, wskazując na swój szeroki nóż, którego ostrze błyszczało w ciemności – tym gorzej... albo tym lepiej dla niego, bowiem zaśnie na wieki.

„Do diabła, to jakiś filozof – pomyślał Pepe – ale na razie dość się już wyspałem”.

¹ *Stopa* – jednostka długości stosowana w krajach anglosaskich, równa 30,48 cm; stopa francuska wynosiła 32,48 cm.

Wtedy jak wąż pozbywający się swej skóry wysunął się ze swego płaszcza i zostawił go w tym miejscu, pełzając z ostrożnością, że był już dość daleko i żaden szmer nie zdradzał jego manewrów, a według wyrażenia hiszpańskiego, nawet ziemia go nie usłyszała. W ten sposób z karabinem w ręku dotarł dokładnie nad miejsce, gdzie zatrzymała się łódź.

Tam nabrał tchu i rzucił ognistym wzrokiem na pozostającego w niej człowieka. Ten zdawał się pogrążony w posępnej zadumie, bowiem siedział nieruchomo pod obszernym płaszczem, który służył mu zarówno do zakrycia twarzy, jak również dla ochrony się przed wilgocią nocy. Jego wzrok był skierowany na pełne morze i dlatego nie mógł dostrzec czarnej sylwetki karabiniera powoli podnoszącego się na szczycie urwiska i mierzącego wzrokiem odległość oddzielającą go od plaży. Nieznajomy wykonał ruch, by odwrócić się w stronę lądu, i w tej samej chwili Pepe, puściwszy zgniecione gałęzie krzewiny, których się uczepił, zeskoczył obok niego jak tygrys na swój łup.

– To ja – powiedział. – Nie ruszaj się albo zginiesz – dodał, opierając lufę karabinu o pierś oszołomionego nieznajomego.

– Kim jesteś? – odparł ten, którego spojrzenie iskrzące się ze wściekłości nie opuściło się przed groźną postawą jego nieprzyjaciela.

– Ejże, to licha! Dobrze wiesz, że Pepe! Pepe, który ciągle śpi.

– Biada mu, jeżeli mnie zdradził! – rzekł nieznajomy, jakby mówiąc do siebie.

– Jeżeli mówisz o don Lucasie – przerwał karabinier – mogę cię zapewnić, że nie jest do tego zdolny, i jeżeli tu jestem, to dlatego, że był zbyt dyskretny, panie przemytniku.

– Przemytniku! – rzekł nieznajomy tonem dumnej wzdargy.

– Jeżeli mówię „przemytniku” – odpowiedział Pepe zadowolony ze swojej przenikliwości – to dlatego, żeby ci pochlebić, bo nie masz ze sobą ani uncji towaru, chyba że to jest próbka – dodał, wskazując stopą na sznurową drabinkę zwiniętą na dnie łodzi.

Stojąc twarzą w twarz z nieznajomym, Pepe mógł dowolnie mu się przypatrzeć.

Był to młodzieniec mający blisko dwadzieścia pięć lat. Miał ogorzłą cerę marynarza. Czarne, gęste brwi mocno uwydatniały szerokie i kościste czoło. Duże czarne oczy, błyszczące posępnym płomieniem w głębi oczodołów, wskazywały na niepohamowane namiętności. Usta nieznanego były wycięte i wyrażały pogardę. Zmarszczki na policzkach, mimo młodego wieku były wyraźnie zaznaczone i przy najmniejszym poruszeniu nadawały wyraz zimnego lekceważenia, arogancji lub pogardy. Z jego oczu i twarzy można było odgadnąć, że ambicja i zemsta musiały być dominującymi żądzami tego człowieka. Jedynie czarne i kędzierzawe włosy łagodziły surowość jego oblicza. Co do jego ubioru, był to mundur oficera marynarki hiszpańskiej. Spojrzenie zdolne zatrwożyć każdego innego oprócz mikeleta ujawniało niecierpliwość, jaka go dopadła, kiedy zobaczył, że jest wypytywany przez strażnika.

– Dość tych żartów, hultaju! Czego chcesz? Mów – rzekł nieznajomy.

– Pomówmy o interesach, gdyż właśnie tego pragnę – powiedział Pepe. – Po pierwsze, kiedy twoi ludzie odniosą mój płaszcz i latarnię, których nie omieszkają zabrać, każesz im zatrzymać się w pewnej odległości, i w ten sposób będziemy mogli bez przeszkód porozmawiać. W przeciwnym razie wypalę do ciebie z karabinu, przez co zginiysz na miejscu, i podniosę alarm, a sam odpłynę łodzią na pełne morze. Cóż pan na to powie? Nic? Ta odpowiedź jest równie dobra, jak inna. Kontynuuję zatem. Dalesz memu kapitanowi czterdzieści uncji srebra¹? – zapytał mikelet z czelnością i na chybił-trafił. – Jeżeli dostanę więcej, między nami będzie kwita.

– Dwadzieścia – odparł nieznajomy bez zastanowienia.

– Wolałbym czterdzieści – odpowiedział Pepe. – Otóż według mnie nie daje się podobnej sumy dla przyjemności sentymentalnej przejażdżki po zatoce Ensenada. Moje interwencja musi panu przeszkadzać, zatem chcę, byś zapłacił mi za moją neutralność.

– Ile? – zapytał nieznajomy.

¹ *Uncja* – dawna jednostka masy lub objętości płynów, w starożytnym Rzymie 1/12 libry (funta); miała różne wartości, zwykle około 28 g.

– Bagatela. Dał pan kapitanowi czterdzieści uncji...

– Dwadzieścia, powtarzam ci.

– Wolałbym, żeby to było czterdzieści, ale zgadzam się na dwadzieścia – rzekł Pepe. – Nie chcę być niedyskretny. Jestem tylko żołnierzem, a on kapitanem, dlatego będę rozsądny, żądając dwa razy tyle, ile on dostał.

Nieznajomy, ograbiony w taki sposób, wyrzucił z siebie przekleństwo, ale nic nie odpowiedział.

– Wiem – mówił dalej Pepe – że to niewiele, bo jeżeli pobiera trzy razy większą płacę ode mnie, to za to ma trzy razy mniejsze potrzeby, stąd też miałbym prawo do potrójnego wynagrodzenia, ale jak on mówi, czasy są ciężkie i podtrzymują moją propozycję.

Wydawało się, że w sercu nieznajomego, z którego czoła, mimo pory roku spływały krople potu, toczyła się gwałtowna walka między niepokojem a dumą. Bardzo nagłać potrzeba musiała go sprowadzić z taką wielką tajemnicą w to odludne miejsce, gdyż poskromiła jego dumę, która wydawała się niezłomna. Wyraz kpiącej nieustraszonności na twarzy Pepegó również sprawiła, że poczuł pilną potrzebę dojścia do zgody, więc wyciągając rękę spod płaszcza, zdjął z jednego z palców cenny pierścionek i podał go mikeletowi.

– Weź i odejdz – powiedział do niego.

Pepe wziął go i obejrzał, po czym zawahał się.

– Ba! Ryzykuję i przyjmuję go za czterdzieści uncji srebra. Odtąd jestem głuchy, niemy i ślepy.

– Liczę na to – warknął zimnym głosem nieznajomy.

– Na życie mojej matki – odrzekł Pepe – ponieważ teraz już nie chodzi o kontrabandę, chcę ci pomóc, gdyż rozumiesz, że jako karabinier mogę nie zauważać kontrabandy, ale sam się nią trudnić... nigdy!

– Jeżeli tak, to możesz uspokoić swoje sumienie w tym względzie – odrzekł nieznajomy z gorzkim uśmiechem. – Pilnuj tej łodzi, dopóki nie wrócimy. Ja dołączę do moich ludzi. Tylko jeśli cokolwiek się wydarzy, cokolwiek spostrzeżesz, choćby to długo trwało, nim wrócimy, pozostań, jak mówiłeś, niemy, głuchy, ślepy i cierpliwy.

Powiedziawszy to, nieznajomy wyskoczył z łodzi na ląd i zniknął za zakrętem wydrążonej ścieżki.

Pepe, zostawszy sam, przypatrywał się przy blasku księżyca brylantowi oprawionemu w pierścień, który wymusił od nieznajomego.

„Jeżeli w tym pierścieniu jest prawdziwy diament – pomyślał – to rząd może mi już nigdy nie płacić żołdu. Mnie to nie obchodzi, ale od jutra zacznę wrzeszczeć jak opętany, dopominając się zaległej pensji. Będzie to dobrze wyglądało”.



II

Alkad i jego sekretarz

Nikt nie wiedział, ile czasu Pepe przebywał na swoim stanowisku, czekając na powrót nieznajomego. Kiedy jednak dało się słyszeć pianie koguta, gdy na horyzoncie pobiegał brzask zorzy, zatoczka Ensenada była zupełnie pusta.

Wtedy życie zdawało się odradzać w wiosce. Jeszcze wciąż niewyraźne cienie zarysowywały się na stromych ścieżkach prowadzących do mola. Łodzie, kołysane falami, zostały pozbawione cum¹ i pierwsze promienie dnia oświeciły wypłynięcie rybaków. Upłynęło zaledwie kilka minut i cała flotylla zniknęła w porannej mgle. Otwierały się drzwi domów, na progach powiały się i zniknęły kobiety oraz dzieci. Jedyną spośród tych lichych chałup, gdzie nie otworzyły się jeszcze o świcie okiennice, była alkada wioski Elanchovi, o którym już wspomnieliśmy.

Już był jasny dzień, gdy młodzieniec w wysokim kapeluszu, znooszonym, brudnym i w pewnych miejscach błyszczącym, jakby był z lakierowanej skóry, kierował się w stronę tego domu. Spodnie tak krótkie, że można je było uważać za spodenki, tak obcisłe, że były podobne do pokrowca od parasola, tak wytarte, że nie byłoby w nich ciepło nawet podczas kanikuły, źle chroniły jego nogi przed przejmującym zimnem listopadowego poranka. Ten młody człowiek zapukał do drzwi alkada. Prawie nie było widać jego twarzy, gdyż aż po uszy otulił się małym płaszczykiem z grubego sukna, z długim włosem, zwanym esclavina. Sądząc po sposobie noszenia tego płaszczyka w górnej części i po tym, do czego był zmuszony przez jego ciasność, pozostawiając odsłonięte nogi na korzyść torsu, wydawał się zupełnie zadowolony ze swoich spodni. Pozory jednak są bardzo zwodnicze.

¹ *Cuma* – lina służąca do przytwierdzania statku (łodzi) do nabrzeża.

W istocie zaś marzenia tego chłopca, którego błędny wzrok, nędzny wygląd i pewna woń stęchłego papieru wskazywały na escribana¹, odnosiły się do posiadania zupełnie innych spodni od tych, jakie nosił, to znaczy do długich, szerokich i miłych w dotyku. Krótko mówiąc, spodnie łączące w sobie te trzy zalety, musiały w jego oczach wydawać się nieprzenikliwą pokrywą przeciw cierpieniom życia i niezdobytą twierdzą przeciw nieszczęściu. Ten młodzieniec był prawą ręką alkada i nazywał się Gregorio Cagatinta.

Po nieśmiałym zastukaniu we drzwi alkada rogowym kałamarzem, który nosił na rzemyku zawieszonym na szyi, otworzyła mu starsza kobieta.

– Ach, to ty, don Gregorio! – stwierdziła staruszka z tą dumną hiszpańską uprzejmością, która sprawia, że dwóch pucybutów, kiedy się spotkają, obdarowują się tytułem „don” jak wielcy hiszpańscy grandowie².

– To ja, doña Nicolasa – odpowiedział Gregorio.

– Jezus Maria! Skoro tu jesteś, to znaczy, że się spóźniłam. Mój pan czeka na spodnie. Usiądź, don Gregorio, niebawem tu przyjdzie.

Izba, do której wprowadzony został escribano, wydawałaby się ogromna, gdyby w każdym jej kącie nie były złożone w nieładzie: sieci różnej wielkości, maszty, reje³, żagle rozmaitych kształtów, począwszy od prostokątnych, aż po łacińskie⁴, rudle⁵, wiosła, wełniane koszule. Dzięki temu bałaganowi ledwo starczało miejsca dla dwóch stołków ustawionych przy dużym dębowym stole, na którym stał korkowy kałamarz najeżony trzema piórami mocno zatkniętymi w otworach, pośród kilku arkuszy brudnego papieru, wydające się być rozłożone dla nadania powagi lub być może dla przestraszenia

¹ *Escribano* (hiszp.) – pisarz urzędowy, notariusz.

² *Grand Hiszpanii* (hiszp. *Grande de España*) – pierwotnie tytuł najwyższej arystokracji hiszpańskiej, zatwierdzony w 1520 roku przez cesarza rzymskiego i króla Hiszpanii Karola V.

³ *Reja* – poziome drzewce masztu służące do mocowania żagli.

⁴ *Żagiel łaciński* – trójkątny żagiel zawieszany na ukośnej rejce niesymetrycznie mocowanej na maszcie.

⁵ *Rudel* – ster łodzi w postaci szerokiego wiosła; także dawniej ster statku.

odwiedzających. Patrząc na to dziwaczne skupisko różnorodnych przedmiotów, trudno było nie mieć dobrego wyobrażenia o tym, czemu oddawał się alkad poza swoim publicznym urzędowaniem. Rzeczywiście, pożyczał na lichwiarski procent, od reala po piastra¹, biorąc odsetki w wysokości dwudziestu procent miesięcznie, czyli dwieście czterdzieści procent rocznie, a ponieważ jego klientela składała się wyłącznie z rybaków, więc stąd wziął się ten zbiór żeglarskich przedmiotów, które zatłaczały salę przyjąć alkada.

Cagatinta spojrział z roztargnieniem na tę tandetę, pomiędzy którą nie było ani jednej pary spodni, co go nie narażało na żadną gorszącą pokusę, gdyż należy wiedzieć, że jego wątpliwa uczciwość prawdopodobnie nie wytrzymałaby tak strasznej próby. Escribano nie był ulepiony z ciasta, z którego robi się uczciwego człowieka. Natura, zawsze działająca od prostych do złożonych rzeczy, miała tylko czas uczynić z niego pospolitego oszusta, ale prawdą było też to, że był jeszcze w kwiecie młodości.

Don Ramon nie dał na siebie czekać. Wkrótce ukazało się jego jowialne oblicze, tętnące szczerością. Był to mężczyzna silny oraz krępy i łatwo można było sobie wyobrazić, że jedna nogawica jego spodni wystarczyłaby na wykrojenie dwóch pantalonów² dla jego chudego i mizernego escribano.

– Na żywego Boga, wielmożny alkadzie! – powiedział pisarz po wymianie mnóstwa porannych grzeczności. – Jakże ma pan wspinać się pantalonami!

– Gregorio, mój przyjacielu – odpowiedział z radosną miną alkad – stajesz się nudny przez te swoje powtarzania. Ech, do diabła! Czy w mojej osobie zazdrościsz mi tylko spodni?

Cagatinta westchnął i odpowiedział jak zgłodniały pies czyhający na kości.

¹ *Real* – moneta bita w XIV-XIX wieku w Hiszpanii i Portugalii, początkowo srebrna, od XVI wieku także miedziana; *piaster* – moneta bita w różnych państwach, w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej (odpowiednik peso), Turcji, na Bliskim Wschodzie, we francuskich Indochinach; na wielu obszarach stał się synonimem monety obiegowej.

² *Pantalony* – spodnie.



– Na żywego Boga, wielmożny alkadzie! – powiedział pisarz po wymianie mnóstwa porannych grzeczności. – Jakże ma pan wspaniałe pantaloney!

– Chyba trzeba by cudu, bym zdołał osiągnąć osobiste zalety pana, ale pańskie spodnie to inna sprawa. Dwa łokcie¹ sukna z Segowii załatwiłyby sprawę.

– Cierpliwości, cierpliwości, mości escribano! Wiadomo ci, że za przysługi, których się od ciebie spodziewam, nie mówiąc o tych, które mi już wyświadczyłeś, przyrzekłem ci moje spodnie koloru krwi wołu, kiedy zostaną zużyte. Ja się tym zajmę, a ty zasłuż na ich pozyskanie.

– Co należy zrobić, abym to osiągnął? – zapytał zdesperowany escribano. – Gra nie jest równa. Pańskie zadanie jest bardzo łatwe w porównaniu z moim!

– Ech, mój Boże! Tego się nie wie – odpowiedział alkad. – Może pojawić się taka okoliczność, która da ci przewagę nade mną.

– Tak, ale w międzyczasie może się też zdarzyć taka sytuacja, że nagle twoje spodnie stracą całą swoją wartość.

– Dalej, do roboty – rzekł alkad, pragnąc przerwać narzekania Gregoria. – Spiszemy akt wywłaszczenia łodzi z powodu nieuiszczenia opłaty przez tego Vicente Pereza, który pod pretekstem, że ma sześćoro dzieci do wykarmienia, nie zwrócił mi w uzgodnionym terminie dwudziestu piastrow, które mu pożyczyłem.

Powiedziawszy to, don Ramon wziął na wpół zniszczone krzesło i usiadł na nim przy stole.

– Weź pan to – rzucił żywo escribano, podając mu skórzany pokrowiec, z powodu zużycia wypolerowany jak mahoń – będzie panu bardziej miękko.

– Także moim spodniom – odrzekł z drwiącą miną alkad.

Cagatinta wyciągnął z biurka arkusz ostemplowanego papieru. Już zabierali się do pracy, kiedy rozległo się pospieszne pukanie do drzwi, które wcześniej dwaj urzędnicy zamknęli, by im nie przeszkadzano..

– Kto, do diabła, może tak stukać? – rzekł alkad.

– *Ave Maria pursima!*¹ – odezwał się głos z zewnątrz.

¹ Łokieć – jednostka długości równa 1/3 sążnia, czyli około 62 cm (w różnych krajach i w różnych okresach łokieć miał różną wartość, np. w Polsce około 57,6 cm).

– *Sin pecado concebida*² – odpowiedzieli razem dwaj akolici.

Po wypowiedzeniu tej sakramentalnej formuły Gregorio poszedł otworzyć drzwi.

– Co sprowadza o tej porze don Juana de Dios? – zawołał alkad, zdziwiony widokiem głębokiego smutku malującego się na łysym czole dozorca hrabiny de Mediana.

– Ach, panie alkadzie – odrzekł starzec – tej nocy wydarzyło się wielkie nieszczęście, popełniono wielką zbrodnię... Zniknęła hrabina, a wraz z nią młody hrabia.

– Czy jesteście tego pewni? – wykrzyknął alkad.

– Niestety! Wystarczyło wejść przez balkon wychodzący na morze, jak to uczyniliśmy, nie otrzymawszy odpowiedzi od pani, by zobaczyć, w jakim stanie mordercy pozostawili jej pokój.

– Sprawiedliwości, sprawiedliwości, panie alkadzie!! Wyślij wszystkich swoich alguazilów!³ – zawołał z pewnej odległości kobiecy głos.

Była to pokojówka hrabiny, która uznała za stosowne wrzeszczeć tym głośniejsze, niż była w rzeczywistości dotknięta tak niepojętym wypadkiem, i wpadła do sali przyjąć alkada.

– Ta, ta, ta... jakże ci spieszo! – odparł urzędnik. – Czy myślisz, że mam tylu alguazilów? Dobrze wiesz, że mam ich dwóch tylko, a do tego jeszcze umieraliby z głodu w tej cnotliwej wiosce, gdyby się zajmowali jedynie swoimi obowiązkami. Tego ranka wyprawili się na połów.

– Niestety, mój Boże! – łkając, krzyczała pokojówka. – Moja biedna pani! Kto jej pomoże?

– Cierpliwości, kobieto – powiedział don Ramon – nie trać nigdy wiary w sprawiedliwość, być może samo Niebo przyjdzie jej z pomocą.

Służąca nie uznała za stosowne okazać się pocieszoną tą wiarą i jej krzyki nasiliły się. Stary Juan de Dios ze smutnie spuszczoną głó-

¹ *Ave Maria Purísima* (hiszp.) – Zdrowaś Maryjo Dziewico.

² *Sin pecado concebida* (hiszp.) – bez grzechu poczęta.

³ *Alguazil* (port., hiszp. alguacil) – sędzia, oficer ds. kryminalnych, woźny sądowy, strażnik.

wą cichutko wezwał straszniejszego sędziego. Przed drzwiami domu alkada zebrała się liczna grupa kobiet, starców i dzieci i stopniowo wciskała się do świątyni sprawiedliwości.

Don Ramon Cohecho podszedł do Cagatinty, który sobie zacierał ręce pod swoją esklaviną na myśl o tym, ile ostemplowanego papieru zagryzmoli, i rzekł do niego:

– Uwaga, przyjacielu Gregorio, nadszedł odpowiedni czas i jeżeli jesteś zręczny, spodnie koloru wołowej krwi...

Nie dokończył zdania, ale Cagatinta zrozumiał, gdyż zbladł z radości i nie tracąc z oczu żadnego znaku swego zwierzchnika, był przygotowany chwycić w locie pierwszą nadarżającą się okazję.

Alkad zasiadł znowu na skórzanym fotelu i gestem ręki nakazał milczenie, a potem z obfitością właściwą językowi hiszpańskiemu najokazalszemu i najbogatszemu ze wszystkich żywych języków, miał dość długą mowę do swego audytorium, której treść była następująca:

– Moje dzieci – powiedział – według doniesienia szanownego don Juana de Dios Canelo, tej nocy została popełniona wielka zbrodnia. Wiadomość o tym zamachu nie mogła ująć czujności sprawiedliwości, ponieważ nic nie może jej umknąć, ale pomimo tego dziękuję don Juanowi de Dios za jego urzędowe zeznanie. Ten czcigodny dozorca powinien je uzupełnić, ujawniając nazwiska sprawców.

– Ależ, panie alkadzie – przerwał don Juan de Dios – tego nie wiem, chociaż moje zeznanie było, jak powiedziałeś, urzędowe. Pomogę jednak w znalezieniu winnych.

– Słyszycie go, moje dzieci? Czcigodny Canelo w zeznaniu urzędowym błaga sprawiedliwość o wymierzenie kary na winowajców. Sprawiedliwość nie będzie głucha na jego wołanie. Niech mi teraz wolno będzie pomówić o moich małych interesach i poświęcić się żalowi, jaki we mnie wzbudza zniknięcie hrabiny i młodego hrabiego de Mediana.

Tutaj alkad dał znak Cagatincie, którego wszystkie natężone zmysły jeszcze nie ujawniły mu, jaką przysługą będzie mógł pozyskać przedmiot swych ambicji, po czym dodał:

– Wiadomo wam, moje dzieci, że z rodziną de Mediana łączą mnie podwójne więzi. Oceńcie więc moją boleść, gdy dowiedziałem się

o zbrodni, tym bardziej niepojętej, że nie wiadomo, z jakiej przyczyny i przez kogo została popełniona. Niestety, moje dzieci, tracę potężną protektorkę, a serce wiernego sługi zostało przebite na wylot, podczas gdy serce urzędnika zostało okrutnie zranione. Tak, moje dzieci, w zwodniczym spokoju, w jakim wczoraj jeszcze byłem zagrożony, udałem się do zamku Mediana w sprawie mojej dzierżawy.

„By usilnie prosić o odroczenie zapłaty” – miał już wykrzyknąć Cagatinta, doskonale zorientowany w sprawach alkada, ale ten nie dał mu czasu na popełnienie takiej ogromnej niedyskrecji, która na zawsze pozbawiłaby go obiecanej nagrody.

– Cierpliwości, mój zacny Cagatinta – powiedział alkad, zwracając się do escribano – powściągnij w sobie tę żądzę sprawiedliwości, która cię zżera. Tak, moje dzieci, w wyniku tego spokoju, nad którym ubolewam, złożyłem na ręce nieszczęsnej hrabiny... – Tutaj głos don Ramona zadrżał. – Sumę odpowiadającą dziesięcioletniej dzierżawie opłaconej z góry.

Na tę nieoczekiwaną deklarację Cagatinta podskoczył na swoim stołku, jakby został ukąszony przez żmiję, a w żyłach ścieła się mu krew, kiedy promień światła wykazał mu ogrom błędu, jakiego miał się dopuścić.

– Osądźcie zatem mój ból, moje dzieci. To jest o tyle chytre, że dziś hrabina miała mi dać pokwitowanie.

Te słowa wywarły na słuchaczach głębokie wrażenie. Żaden z nich nie wierzył w ten fatalny przypadek, ale nikt nie śmiał okazać swego niedowierzania.

– Na szczęście – ciągnął alkad – przysięga osób godnych zaufania może naprawić to nieszczęście.

Tutaj Cagatinta, podobnie jak długo tamowana woda, która wreszcie znalazła ujście, wyciągnął rękę i wykrzyknął z zapalem:

– Przysięgam!

– Przysięgam – powtórzył alkad.

– On przysięga – powtórzyli obecni.

– Tak jest, moi przyjaciele, jeszcze raz przysięgam i ciągle pragnąłbym przysięgać, chociaż jedna rzecz zawstydzą moją delikatność,

to jest, że nie przypominam sobie, czy alkad zapłacił nieszczęsnej doñi Luise za dziesięć lub piętnaście lat z góry – rzekł Cagatinta.

– Nie, mój zacny przyjacielu – przerwał mu don Ramon Cohecho z umiarkowaniem, które powinno mu zjednać pobłażanie u słuchaczy, ponieważ miał otwarte pole do nadużyć – stratę dziesięcioletniej dzierżawy tylko twoje świadectwo mi zabezpiecza, dlatego też możesz liczyć na moją wdzięczność.

„Spodziewam się – pomyślał pisarz – dwa lata zaległe i dziesięć naprzód, to czyni dwanaście lat za darmo. Teraz niezaprzeczenie mam największe prawo do spodni koloru wołowej krwi!”.

Nie będziemy już męczyć Czytelnika dalszym opisem tego, co się działo na tym posiedzeniu, gdzie sprawiedliwość była stosowana tak, jak była przed Idzim Blasem¹ i jak jeszcze będzie długo praktykowana w Hiszpanii, i sprawimy, że będzie obecny przy śledztwie prowadzonym na miejscu zbrodni przez alkadę i jego towarzysza, w towarzystwie wymaganych prawem świadków.

Rozpoczęto od wyważenia drzwi do sypialni, zaryglowanych od wewnątrz. Puste szuflady i inne sprzęty, na pół zniszczone, leżały na podłodze. Nic jednak nie wskazywało w widoczny sposób na ślady pomocy, ale pospieszny wyjazd też może spowodować podobny nieład w mieszkaniu.

Łóżko hrabiny, które nadal było nietknięte, świadczyło o tym, że w nim nie spoczywała, a tym samym wskazywało na plan, który został wcześniej ułożony, by w gotowości oczekiwać na moment wyjazdu. Meble stały na swoich zwykłych miejscach, draperie w oknach pokoju i alkowy nie były pomiętoszone; nie było widać żadnych śladów walki na posadzce ułożonej z miękkich kamieni, na których najłżejsze, niezwykle naciśnięcie mogłoby spowodować zarysowanie.

Cuchnąca woń powoli gasnącej lampy z powodu braku oleju nadal unosiła się w pomieszczeniu, mimo przenikającego do niego świeżego powietrza. Było oczywiste, że paliła się do rana, a przecież zło-

¹ *Idzi Blas* – tytułowy bohater trzyczęściowej powieści Alaina Lesage’a *Przypadki Idziego Blasa* z pierwszej połowy XVIII wieku, którego życie obfituje w mnóstwo przygód i nagłych zwrotów akcji.

czyńcy by ją zgasili, by bez obawy dokonać swego zbrodniczego dzieła. Poza tym w szufladach pozostało tysiące drobiazgów mogących zachęcić chciwość.

Na te wszystkie oszukańcze wskazówki stary don Juan de Dios z powątpiewaniem kiwał głową. W tym wszystkim było coś takiego, co mieszało jego umysł i przekraczało jego inteligencję, która zresztą nigdy nie należała do pierwszorzędnych, ale jego zdrowy rozsądek oburzał się na myśl, że jego pani mogła uciec w tak nadzwyczajny sposób. W jego oczach zbrodnia była oczywista, ale jak ją wyjaśnić? Morderca nie pozostawił po sobie żadnych śladów.

Stary i zacny sługa spoglądał smętnym wzrokiem na ten opustoszały pokój, na rozrzuconą na podłodze odzież swej pani i rozbity kołyskę, w której pościel zachowała jeszcze ślad młodego hrabiego i w której dzień wcześniej spał, rumiany i uśmiechnięty, pod opieką swej matki.

Jakby uderzony nagłą myślą, Juan de Dios wszedł na żelazny balkon wznoszący się niezbyt wysoko od ziemi. Wzrokiem badał plażę rozciągającą się pod balkonem. Bez przerwy omiały ją fale i ze szmerem przesuwały otoczaki. Nie było widać żadnych wgłębień, żadnych ludzkich śladów. Wiatr świszczął, ocean huczał jak zwykle, lecz spomiędzy głosów natury żaden się nie podniósł, by ujawnić winowajcę.

Jedynie na horyzoncie białe żagle statku odcinały się na oddalonym błękitcie morza.

Gdy stary sługa modlił się w milczeniu i zadumany wzrokiem śledził odpływający statek, wszyscy obecni oprócz alkada i escribano przysłuchiwali się smętnie żałobnym zawodzeniom wiatru wśród skał falez, który na tych wyniosłościach, wydaje się wyć na przemian dzień i noc, wzdychać lub płakać.

Alkad i pisarz, nie przyznając się do tego, dzielali w duchu przekonanie Juana de Dios. Obaj wierzyli w zbrodnię, ale nie będąc w stanie znaleźć najmniejszego śladu przestępstwa, pozwalającego im zatrzymać kogokolwiek, kto mógłby opłacić koszty sprawiedliwości, jak to jest chlubnym zwyczajem w Hiszpanii, escribano i alkad byli zadowoleni – pierwszy z tak upragnionej nagrody, której już był prawie pewny, drugi zaś z dwunastoletniej darmowej dzierżawy.

– Doprawdy, panowie – odezwał się alkad, zwracając się do świadków – nie mogę sobie wytłumaczyć, jaka fantazja skłoniła panią hrabinę de Mediana do wyjścia przez okno, gdyż drzwi wejściowe zamknięte od wewnątrz nie pozostawiają w tym względzie żadnej wątpliwości. Jest to kobiecy kaprys i sprawiedliwość nie potrzebuje go wyjaśniać.

– Być może dlatego, żeby nie dać pokwitowania panu alkadowi – mruknął cicho jeden ze świadków do swego sąsiada.

– A tak przy okazji – powiedział Cohecho, zwracając się do Juana de Dios – skąd wiedziałeś, że hrabina zniknęła, skoro nie można było wejść do jej domu?

– To bardzo proste – odpowiedział starzec. – O godzinie, o której pokojówka zwykle przychodziła do pani, zapukała do drzwi, lecz nikt jej nie odpowiedział. Zastukała mocniej i gdy jej nie otworzono, przeląkwszy się, przybiegła mnie o tym powiadomić. Ja także stukiałem, wołałem, a nie doczekawszy się odpowiedzi, pobiegłem do ogrodu po drabinę i przez to otwarte okno dostrzegłem pokój w takim stanie, jak go teraz pan widzi.

Po tym zeznaniu odźwiernego Cagatinta szepnął kilka słów do ucha alkada, tak cicho, że nikt go nie dosłyszał, ale Cohecho ograniczył się tylko do pogardliwego wzruszenia ramionami.

– Kto wie? – na ten niemy gest odrzekł escribano.

– Być może. Zobaczymy – stwierdził alkad, a po chwili milczenia dodał:

– Upieram się, panowie, że choć może się to wydawać dziwne, pani hrabinie wolno było wyjść według upodobania, a nawet oknem.

Obecni uśmiechnęli się pochlebnie z tego urzędowego dowcipu.

– Ale panie alkadzie, to, co dowodzi, że doszło do gwałtownego wdarcia się do tego pokoju – zawołał stary Juan de Dios, którego oburzył żart alkada Cohecho – to ta stłuczona szyba, której kawałki leżą na podłodze.

– Ten stary Canelo nie chce mi pozwolić zjeść śniadania – szepnął alkad, który nie mógł się doczekać, żeby z tym skończyć, ponieważ nie spodziewał się już żadnego zysku z tej tajemniczej sprawy. – Pewny jestem że śniadanie ostygło i Nikolasa się niecierpliwi...

– Czego dowodzą te kawałki szkła? – zapytał głośno. – Czy przy wietrze, który tak gwałtownie wiał tej nocy nie mogło się tak wydarzyć, że otwarte, nagle się zamknęło i wtedy doszło do wybicia jednej lub dwóch szyb?

– Dlaczego właśnie ta obok zasuw? – zapytał Juan de Dios. – Wybito ją, by otworzyć okno.

– Ach tak, panie don Juanie de Dios! – zawołał zniecierpliwiony alkad, gryząc ze złości laskę ze złotą gałką, symbol jego dostojęstwa. – Czy ty lub ja mamy tutaj prawo zadawania pytań? *Caramba!*¹ Wydaje się, że chcesz mnie wystawić na śmieszność!

W tym momencie wmieszał się skromnie Cataginta.

– Odpowiem naszemu przyjacielowi Canelo – powiedział. – Gdyby ta szyba została rozbita we wskazanym przez niego celu, to mogło nastąpić tylko z zewnątrz, a wtedy kawałki wpadłyby do pokoju, a przecież leżą na balkonie. Zatem tę robotę wykonał wiatr, jak słusznie uważa wielmożny alkad, chyba że – dodał z fałszywym uśmiechem – sprawił to jakiś kufer, który nieostrożnie przesuwano przez okno, ponieważ hrabina zapewne przedłuży spacer, sądząc po liczbie rzeczy, jakie ze sobą zabrała, o czym świadczą te puste szuflady.

Stary odźwierny spuścił głowę przed dowodem obalającym jego twierdzenie i nie usłyszał ostatniej uwagi Cataginty. Co się tyczy tego ostatniego, zapytywał siebie w duchu, czy za tę nową przysługę nie powinien wymagać od alkada czegoś więcej niż przyobiecana nagroda.

Gdy stary sługa domu de Mediana był pogrążony w bolesnych myślach zasępiających jego łyse czoło, powoli podszedł do niego alkad.

– Okazałem się zbyt popędliwy względem ciebie – rzekł do niego. – Nie zastanowiłem się dostatecznie nad boleścią, jakiej doznawać może wierny sługa taki jak ty, z powodu tak niespodzianego ciosu, ale powiedz mi, czy niezależnie od smutku, którego musisz doświadczać, nie dręczy cię obawa o twoją przyszłość? Jesteś stary, a więc słaby i pozbawiony środków do utrzymania się.

¹ *Caramba* – hiszpańskie przekleństwo, obecnie o łagodnym znaczeniu; do licha!

– Dlatego też, że jestem stary, panie alkadzie, a moja przyszłość jest ograniczona, niezbyt się tym przejmuję, ale moja boleść – dodał stary sługa z pewną dumą – nie mieści w sobie żadnej innej myśli. Dzięki hojności panów de Mediana mogę spokojnie spędzić resztę dni, jakie mi pozostały. Byłbym jednak szczęśliwy, gdybym mógł pomścić żonę mego dawnego pana.

– Pochwalam twoje uczucia – ciągnął alkad wzruszonym głosem. – Jesteś człowiekiem podwójnie godnym szacunku przez twój smutek, a swoje oszczędności, panie Canelo...

Następnie zmieniając nagle głos, dodał:

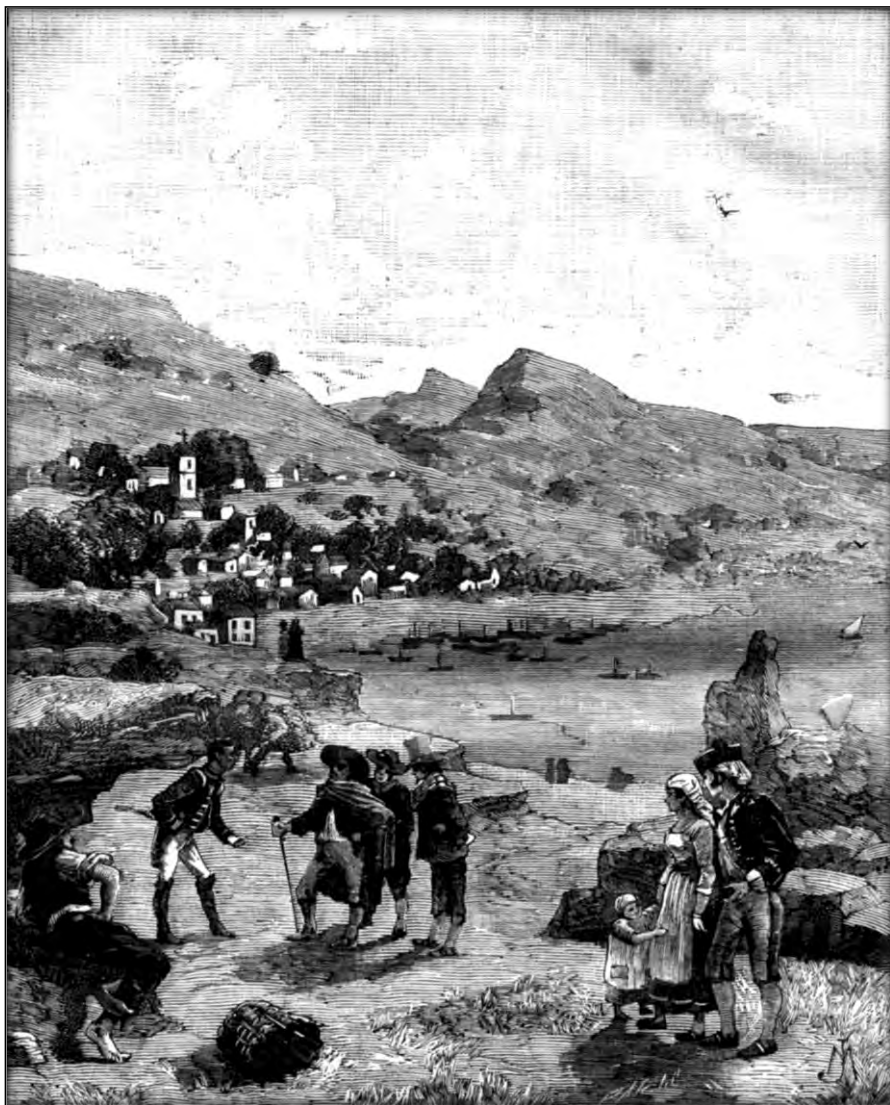
– Pisarzu, zamieść w protokole, że pan don Juan de Dios de Canelo y Nabos, tutaj obecny, staje się oskarżycielem posiłkowym przeciw porywaczom jego pani. Nie należy bowiem wątpić, moi panowie, że zbrodnia została popełniona i że winni jesteśmy samym sobie i temu szanownemu starcowi satysfakcję odszukania i ukarania sprawców.

– Ależ wielmożny alkadzie – zawołał zdumiony odzwierny – nigdy nie zamierzałem ustanawiać się oskarżycielem posiłkowym.

– Uważaj, starcze! – zawołał don Ramon uroczystym głosem. – Jeśli zaprzeczysz temu, co mi przed chwilą powierzyłeś, to potępiające obwinienia spadną na ciebie, bowiem jak to przed chwilą zauważył nasz przyjaciel Cagatinta, ta drabina, która posłużyła ci do dostania się do pokoju hrabiny, może dowodzić złych zamiarów, ale ty nie jesteś zdolny do tego, w co wierzę, pozostań zatem oskarżycielem zamiast stać się oskarżonym! Dalej, panowie, obowiązek wzywa nas, byśmy wyszli na zewnątrz. Być może pod tym oknem natrafimy na ślady ujawniające coś więcej.

Biedny Juan de Dios, niespodziewanie pochwyceny pomiędzy dwa ognie tego rozumowania, którego podwójny skutek musiał być taki sam, to znaczy obrabowanie go ze szczupłego funduszu mającego mu zapewnić utrzymanie na starość, schylił głowę i przyjmując ze wzniosłą rezygnacją głos niesprawiedliwości za głos Boga, pocieszał się myślą, że ta ostatnia ofiara nadal może być pożyteczna dla jego pani.

Jak już zostało powiedziane, pod balkonem nie znaleziono żadnych śladów. Przez chwilę myślano, że schwytano ważną zdobycz w osobie



Pepe, chcąc oddalić od siebie niebezpieczeństwa, chwycił się sposobu,
bowiem poprosił go o pożyczanie reala na chleb.

człowieka uśpionego w wyżłobieniu skały: był to Pepe Śpioch. Przebudzony niespodzianie, zapytany, czy nic nie widział, i po raz pierwszy od dłuższego czasu nieczujący pustej kieszeni Pepe, chcąc oddalić od siebie niebezpieczeństwa, chwycił się sposobu, który wydawać się będzie nadzwyczajny z człowiekiem tak chciwym, jak alkad, bowiem poprosił go o pożyczenie reala na chleb. Cóż było zrobić z takim łotrem? Dlatego też alkad nie zadawał mu więcej pytań i pozwolił mu znowu swobodnie zasnąć. Trzeba więc było wstrzymać się od kontynuowania śledztwa do otrzymania dalszych instrukcji, ponieważ uczyniono wystarczająco dużo, by zwiększyć jego koszty odnoszące się do funduszu strony skarżącej.

Kiedy jednak po tym niesłychanym poranku w dziejach Elanchovi nadszedł zmierzch, dwóch ludzi błąkało się jeszcze smutno po wybrzeżu, ale starannie unikając spotkania się ze sobą. Jednym był biedny Juan de Dios, który wzdychając na wspomnienie o swoich oszczędnościach mających się stopić w pochłaniającym wszystko tygłu kosztów prawnych, szukał uporeczywie śladów swej pani, modlił się za nią oraz za swego młodego pana i błagał Boga o ocalenie ich życia. Drugim był smutny Cagatinta. Alkad, korzystając z zaufania escribano, który złożył przysięgę przed otrzymaniem obiecannej nagrody, stanowczo odmówił mu przekazania spodni i zamiast tego zaproponował mu dość stary kapelusz, który Gregorio odrzucił z oburzeniem.

Zatem Cagatinta opłakiwał swe zanikłe marzenia, swoją szaloną ufność, niemoralność fałszywych przysięg, niewynagrodzonych, i rozmyślał nad przyjęciem starego kapelusza w zamian za spodnie, na które niestety tak bardzo zasłużył!



III

Zemsta Pepego Śpiocha

dy Pepe Śpioch odkrył tajemnicę kapitana Despierto, tajemnicę, która przyniosła mu zysk, nie wiedział, że don Lucas ukrywa przed nim jeszcze inną. Mikelet, pragnąc jednak może z powodu wyrzutów sumienia spełnić po raz pierwszy w życiu swój obowiązek, nazajutrz po odbytej nocnej służbie przyszedł wyprosić u kapitana, by wyznaczył go do pełnienia straży jeszcze tej nocy.

Łatwo się domyślić, że bez kłopotu uzyskał zgodę, ale gdy don Lucas sądził, że jak zwykle będzie spał, Pepe czuwał tak jak poprzedniej nocy.

Pozostawmy go jednak na jego stanowisku i opiszmy, co się działo na wybrzeżu Elanchovi nieopodal zatoki Ensenada.

Noc była równie mglista jak ta, która właśnie minęła, gdy około dziesiątej wieczorem zwrotny i solidnie ożaglowany kuter¹ wśliznął się pomiędzy tajemne przejścia labiryntu skał. Kształt kutra, jego omasztowanie i ożaglowanie wskazywało na okręt wojenny albo przynajmniej uzbrojony przed rejssem.

Śmiałość, z jaką manewrował pośród ciemności, wskazywała również, że ten, kto nim sterował, od dawna musiał znać to niebezpieczne wybrzeże, i że dowódca statku musiał się komunikować z ludźmi na stałym lądzie.

Morze biło gwałtownie z prawej i z lewej strony wąskiego labiryntu, gdzie okręt płynący pod dolnymi żaglami okrążał skały w bardzo niewielkiej odległości. Po przedostaniu się przez ten przesmyk przed kutrem otworzyła się rozległa zatoka, w której spokojniejsze morze obmywało piaszczysty i równy brzeg.

¹ *Kuter* – jednomasztowy jacht żaglowy mający dwa albo trzy przednie żagle (sztaksle).

Wtedy po manewrze wykonanym na rozkaz oficera wachtowego¹ statek zatrzymał się w miejscu z szybkością wskazującą na to, że była na nim liczna załoga. Na morze spuszczone kolejno dwie uzbrojone szalupy i ludzie, którzy do nich wsiadli, skierowali się ku krańcowi zatoki, nad którym można było rozróżnić po ich bieli kilka rozrzuconych po plaży domków.

Dodajmy tutaj, by nie czynić już z tego tajemnicy, że mały okręt był francuski, na pół korsarski, na pół przemytniczy i że przybywał w podwójnym celu: złożenia na ląd części towarów i zabrania ze sobą zapasów żywności, której już zaczynało brakować.

Kapitan uznał za stosowne, prowadzony przez rybaka z Elanchovi, którego dostarczył mu kapitan Despierto, wpłynąć do tego wąskiego przesmyku, by schronić się na czas, kiedy pozbawiony kilku swoich marynarzy, na otwartych wodach mógłby doświadczyć jakiegoś przykrego spotkania.

Oficer wachtowy przechadzał się w milczeniu po pokładzie, przysłuchując się pluskaniu morza wzdłuż boków statku, śledząc starannie kierunek wiatru, którego podmuchy nadymały żagle rozpięte w przeciwnym kierunku, i od czasu do czasu nachylając się ku światłu naktuza².

Tak upłynęła godzina, gdy nagle we wszystkich punktach wybrzeża rozbrzmiała gwałtowna strzelanina. Odpowiedziały im inne wystrzały i po niedługim czasie obie szalupy wróciły do kutra.

Był to Pepe, który ku wielkiemu niezadowoleniu swego kapitana zaalarmował mikeletów, jednak zbyt późno, bowiem szalupy wracały już, obciążone owcami i wszelką inną żywnością. Ostatnim z ludzi, którzy wspięli się na pokład, zanim szalupy podciągnięto na szlupbel-

¹ *Wachtowy* – członek załogi pełniący wachtę; wachta to okres, przez który pełni służbę jedna zmiana załogi.

² *Naktuz* – podstawa kompasu okrętowego w postaci wąskiej szafki; posiada szereg urządzeń pomagających w korzystaniu z kompasu, takich jak mechanizm zawieszania kompasu utrzymujący go w poziomie oraz oświetlenie; dawniej naktuz instalowano przed stanowiskiem sternika (kompas sterowy) oraz w miejscu umożliwiającym użycie kompasu do namierzania.

kach¹, był olbrzymiego wzrostu majtek. Trzymał on w swych ramionach bezwładne dziecko, jak można by sądzić, martwe, gdyby lekkie drgania jego ciała nie objawiały w nim resztek życia.

– Co, u diabła, tu przynosisz, Bois Rosé²? – zapytał go oficer.

– Za pańskim pozwoleniem, poruczniku, jest to małe dziecko, które znalazłem na pół martwe z głodu i z zimna w dryfującej łódce. Kobieta, martwa i skąpana we krwi, trzymała je jeszcze w swoich objęciach i z wielką trudnością zdołałem je wyciągnąć z łodzi, w której było i do której te hiszpańskie psy ostro strzelały, biorąc ją za jedną z naszych. Był tam zwłaszcza jeden wielki diabeł, mikelet. – Powiedzmy czytelnikowi, że był to Pepe Śpioch. – W czasie przenoszenia dziecka strzelał do mnie z równą uporczywością, co niezręcznością. Mogłem zresztą na zawsze nakazać mu milczenie, gdyby mi nie przeszkadzało opiekowanie się tą słabą istotką... ale jeżeli go kiedyś napotkam... wystarczy...

– Co zamierzasz zrobić z tym dzieckiem? – wzruszony współczuciem olbrzyma, zapytał oficer.

– Opiekować się nim do czasu, aż zawarcie pokoju pozwoli mi wrócić tutaj, by uzyskać niezbędne informacje na jego temat.

Na nieszczęście jedyna informacja, jaką zdołano zdobyć o tym dziecku, które wydawało się mieć ze trzy lata, była taka, że miał na imię Fabian i że zamordowana kobieta była jego matką.

Minęły dwa lata, podczas których francuski okręt nie mógł przybić do brzegów Hiszpanii. Przywiązanie majtka, który wziął pod opiekę młodego Fabiana de Mediana, ani na chwilę nie osłabło, a jedynie ciągle wzrastało. Ten człowiek o kolosalnym wzroście i herkulesowej sile był z Kanady i nazywał się Bois Rosé, i tak też go nazywano.

¹ *Szłupbelka* (żurawik) – urządzenie dźwigowe na pokładzie statku, najczęściej służące do opuszczania i podnoszenia z powierzchni wody łodzi, lub innych ciężkich przedmiotów.

² *Bois Rosé* (fr., ang. Rosewood) – Różane Drzewo; to nazwa odnosząca się do palisandra, który w Ameryce rośnie tylko w Brazylii; ten przydomek mógł wziąć się od ogorzałej cery bohatera i nawiązywał do twardości drewna tego gatunku.

Był to osobliwy i wzruszający widok, patrząc na tę niemal matczyną opiekę, jaką olbrzym okazywał małemu dziecku, i nieustanne sztuczki, za pomocą których pozyskiwał dodatkowe racje żywnościowe dla swego przybranego syna. Majtek doszedł do tego, że na tej słabej istocie budował tysiączne marzenia o szczęściu, które jego udział w zdobyczy mógł mu pozwolić kiedyś urzeczywistnić.

Na nieszczęście uczciwy majtek za bardzo zaniedbywał w swoich rachubach niebezpieczne przypadki marynarskiego życia. Pewnego poranka francuski krążownik musiał uciekać przed angielskim brygiem, dwa razy silniejszym od niego. Jakkolwiek francuski okręt płynął szybko, nie zdołał ani umknąć pogoni, ani uniknąć walki.

Oba statki od kilku godzin strzelały do siebie z zaciętością, gdy majtek, cały poczerniały od prochu, zszedł do ładowni, gdzie w bezpiecznym miejscu umieścił dziecko. Uściskawszy je czule, wyniósł je w swoich ramionach na pokład. Tam w kulminacyjnym momencie walki, pośród zgiełku, zewsząd płynącej krwi, okrzyków walczących, pośród padających masztów, pragnął na wszelki wypadek wyrwać w pamięci dziecka okoliczności rozstania, którego się obawiał.

W takim momencie, który musi pozostawić nawet u dziecka nigdy niezatarte wspomnienie, powiedział do niego osłaniając go swym ogromnym ciałem:

– Uklęknij, mój synu.

Dziecię uklękło, drżąc.

– Czy widzisz, co się dzieje? – mówił dalej Kanadyjczyk uroczystym głosem.

– Boję się krwi, którą widzę, hałasu, który słyszę – szepnął Fabian i ukrył się w ramionach olbrzyma.

– To dobrze – stwierdził majtek. – Zatem nigdy nie zapomnij, że w tej chwili marynarz, człowiek, który cię kochał jak swoje życie, kazał ci uklęknąć, by powiedzieć tobie: „Klęknij, moje dziecko, i módl się za duszę twojej matki...”.

Nie dokończył. Ugodziła go kula, a jego krew trysnęła na Fabiana, który wydawał rozdzierające krzyki. Kanadyjczyk miał tylko czas przycisnąć go do serca w rozpaczliwym uścisku i dokończyć, ale tak

cicho, że dziecko zaledwie dosłyszało zdanie, które rozpoczął: „Którą znalazłem umierającą obok ciebie”.

Powiedziawszy to, stracił przytomność.

Kiedy odzyskał przytomność, znajdował się we wnętrzu cuchnącej ładowni. Trawiło go palące pragnienie. Wezwał osłabionym głosem tego, który się do niego uśmiechał co rano, kiedy się budził, ale nikt mu nie odpowiedział. Fabiana już tam nie było. Marynarz stał się więźniem, i to w hulku¹ opłakiwał utratę swej wolności i przybranego syna, którego mu zesłała Opatrzność.

Co się stało z Fabianem? Dowiemy się tego z historii gońca leśnego, jednak zanim przejdziemy od prologu do dramatu i przeniesiemy się z Europy do Ameryki, pozostaje nam uzupełnić opis wydarzeń w Elanchovi. Dopiero kilka dni po zniknięciu hrabiny, rybacy znaleźli jej martwe ciało na dnie opuszczonej łódki.

Stary Juan de Dios pokrył czarną krepą chorągiewki zamku i wznosił własnymi rękami drewniany krzyż w miejscu, w którym znaleziono jego panią. A ponieważ wszystko na tym świecie się jednak zużywa, i to zużywa szybko, morski wiatr jeszcze nie zarumienił czarnej krepy, przypływ morza nie zazielenił jeszcze drewnianego krzyża, gdy pomimo emocji, jakie wzbudził w wiosce ten tragiczny wypadek, już dawno zaprzestano o nim mówić.



¹ *Hulk* – stary statek, wycofany już z normalnej eksploatacji i zdekompletowany, przycumowany lub zakotwiczony na stałe w porcie, służący jako stacjonarne pomieszczenie pomocnicze; hulki używane bywają jako koszary, mieszkania dla załóg okrętów, pomieszczenia szkolne, hotele, szpitale, magazyny, warsztaty lub więzienia.

Rozdział I

Dwóch uczciwych ludzi

 1830 roku stan Sonora, jeden z najbogatszych republiki meksykańskiej, słusznie można było uznać za jeden z najmniej zbadanych regionów w tej części Ameryki, jednakże natura okazała się dla niego szczodra. Ziemia, zaledwie poruszona plugiem, pozwala co roku dwukrotnie w wielu miejscach zbierać pod gołym niebem złoto rozproszone obficie na tej żyznej ziemi, która pod tym względem współzawodniczy obecnie z tak słynną Kalifornią.

Prawdą jest, że korzyści te są okupione pewnymi niedogodnościami. Rozległe pustynie, przecinające tu i ówdzie uprawne tereny Sonory, sprawiają, że podróżowanie jest trudne i niebezpieczne. Plemiona wojowniczych Indian posiadają rozległe równiny, gdzie jak się mówi, złoto występuje w takiej obfitości, co piasek.

Moglibyśmy przytoczyć wiele znacznych fortun, których początkiem było odkrycie kilku kawałków rodzimego złota, a także innych, których podstawą była obfitość zbiorów zebranych z tej żyznej ziemi.

Ludzie, których jedyne rzemiosło ogranicza się do praktycznej znajomości metalurgii, zapuszczają się od czasu do czasu na pustkowia. Tam, żyjąc w wielkim niedostatku, narażeni na tysiączne niebezpieczeństwa, wydobywają pospiesznie srebro ze złóż będących na powierzchni ziemi albo zajmują się przepłukiwaniem złotonośnych piasków, po czym napastowani, ujęci lub wypędzeni przez Indian Apaczów¹, wracają na łono miast, opowiadają cudowne rzeczy o niedo-

¹ *Apacze* – zespół grup etnicznych Indian Ameryki Północnej, obejmujący co najmniej osiem szczepów, spośród których najbardziej znanymi były szczepy Kiowa, Mescalero, Jicarilla i Chiricahua. Nazwa Apache pochodzi z języka Zuni i znaczy wrogowie lub waleczni ludzie. Po rozpoczęciu kolonizacji Ameryki przez Europejczyków wyróżnili się walkami najpierw z Hiszpanami, a następnie z Meksykanami i Amerykanami. Kulminacja walk przypadła na lata przymusowych wysiedleń (1848-

stępnych skarbach, które widzieli, o cudownym bogactwie kopalń albo o niewyczerpanych pokładach złota na powierzchni ziemi.

Ci gambusinos¹, jak ich nazywają, którzy dla przemysłu wydobywczego są tym, czym amerykańscy pionierzy² są dla rolnictwa lub handlu, podtrzymują w ten sposób przez swoje opowiadania, w których przesada zawsze góruje nad rzeczywistością, żądę zdobyczy i pragnienie złota. Jeśli chodzi o Indian, to jedynie ich nie nawiść do białej rasy, nie zaś żądza zachowania skarbów, których wartości nie znają, podżega ich do odpierania z wściekłością tych postępujących napadów.

Chciwość podniecana opowiadaniem gambusinos, często także widokiem szczęśliwego i bogatego znaleziska na pustkowiu, zapala się na dźwięk głosu jakiegoś śmiałego awanturnika ogłaszającego krucjatę. Dołączają do nich inni awanturnicy, synowie zrujnowanych rodzin, ludzie będących na bakier z prawem. I tak organizuje się wyprawa, ale przedsięwzięta lekkomyślnie, albo zuchwale prowadzona, zawsze zawodzi i powraca zaledwie kilku z tych, którzy ją wymyślili, by opowiedzieć o jej katastrofalnych skutkach.

W czasie, w którym wracamy do opisu dalszego ciągu naszej historii, w 1830 roku, to znaczy dwadzieścia dwa lata po wydarzeniach opowiedzianych w prologu, właśnie zajmowano się podobną wyprawą w Arispe³, stolicy stanu Sonora.

Człowiek, który ją przedsięwziął, to cudzoziemiec, Hiszpan, przybyły tam zaledwie przed dwoma miesiącami. Znano go pod nazwiskiem don Estevan de Arechiza.

Ten człowiek, jak się zdawało, przebywał niegdyś w tym kraju, jednak nikt nie przypominał sobie, że go tu widział. Musiał przybyć

-1886). Wojny Apaczów z białymi i okres koczowniczego trybu życia plemienia skończyły się z chwilą poddania się wodza Apaczów Geronima (1886).

¹ *Gambusino* (hiszp.) – poszukiwacz minerałów.

² *Pionier* – człowiek torujący drogę w jakiejś dziedzinie, odkrywca; osadnik zagospodarowujący nowe tereny.

³ *Arispe* (obecnie Arizpe) – niewielkie miasto w północno-wschodniej części meksykańskiego stanu Sonora, siedziba władz gminy Arizpe, położone około 180 km na północny wschód od stolicy stanu – Hermosillo.

z Europy z wcześniej przygotowanym planem. Kompletna wiedza na temat topografii terenu, dokładne informacje o ludziach i rzeczach najwyraźniej dowodziły, że Sonora nie była mu obca i że jego zamiysł już od dłuższego czasu był przemyślany.

Bez wątpienia dysponował środkami równie potężnymi, co tajemniczymi, bowiem prowadził wystawne życie, jego dom był otwarty, grał o duże stawki, pożyczzał pieniądze, nawet nie myśląc, by domagać się ich zwrotu. Nikt nie potrafił powiedzieć, z jakiego ukrytego źródła czerpał, by móc sprostać potrzebom takiego wielkopańskiego życia.

Jedynie od czasu do czasu don Estevan de Arechiza odbywał krótkie podróże, trwające najdłużej tydzień. Potem powracał i nikt nie wiedział, gdzie bawił, gdyż służący nie wyjawiali działań swego pana.

Jakkolwiek było, wielkie maniery Hiszpana, jego szlachetność i hojność spowodowały, że wkrótce w Arispe zyskał potężne wpływy. Korzystał z tego, by zorganizować daleką wyprawę do miejsca, do którego – że tak można powiedzieć – dotąd nie zdołał się dostać żaden biały.

Don Estevan przegrywał zwykle w karty, ponieważ ciągle zapominał, jak to powiedzieliśmy, żądać zwrotu pożyczonych pieniędzy, dlatego nie można było przypuszczać, by żył z hazardu lub z lichwy. Podejrzewano zatem, że posiadał w pobliżu Arispe jakiś bogaty plac¹ i że wiedział o innych, jeszcze obfitszych, w głębi krainy Indian Apaczów. Periodyczne podróże Arechizy potwierdzały to pierwsze przypuszczenie, a jeśli chodzi o drugie, to niebawem przypadek zamienił je w prawdę. Jak to się stało, opowiemy później.

Don Estevan mógł więc łatwiej niż ktokolwiek inny, dzięki wpływowi, jaki wywierał, znaleźć towarzystwo awanturników. Mówiono już, że osiemdziesięciu zdeterminowanych ludzi przybywało z różnych punktów Sonory do presidio Tubac² przy granicy z ziemiami

¹ *Placer* – złożo okrucnowe, termin stosowany zwłaszcza do bogatych złóż okrucnowych złota, ale także diamentów, granatów, żelaza, rubinów czy szafirów.

² *Presidio* – ufortyfikowana baza założona przez Hiszpanów na obszarach znajdujących się pod ich kontrolą lub wpływem; termin pochodzi od łacińskiego słowa *praesidium* oznaczającego ochronę lub obronę; *Tubac* – osada w hrabstwie Santa Cruz (Arizona) leżąca nad rzeką Santa Cruz; została założona w 1752 roku jako hiszpań-

Indian, którą Arechiza wskazał im jako punkt zborny wyprawy, a według plotek zbliżał się dzień, w którym sam don Estevan miał wyjechać z Arispe, by objąć nad nimi powodzenie.

Ta wieść, początkowo wątpliwa, szybko zamieniła się w pewność, gdyż podczas jednego z obiadów, który wydał, Hiszpan oznajmił swoim biesiadnikom iż za trzy dni uda się w podróż do presidio Tubac. Podczas tegoż obiadu do jadalni został wprowadzony goniec i wręczył don Estevanowi pismo, na które – jak powiedział – oczekuje odpowiedzi.

Hiszpan poprosił swoich gości o wybaczenie i odpieczętował pismo.

Ponieważ wszystko w postępowaniu cudzoziemca przybierało pewną barwę tajemniczości, biesiadnicy na chwilę zamilkli, by przyglądać się jego zachowaniu i grze fizjonomii, ale niewzruszone oblicze don Estevana, który widział, że stał się obiektem powszechnej uwagi, nie zdradziło jego żadnej myśli. Prawdą było, że doskonale umiał ukrywać swoje doznania i być może właśnie tego dnia potrzebował całej swej władzy panowania nad sobą.

– Dobrze – powiedział spokojnie do posłańca – odpowiedz temu, który cię przysłał, że będę w umówionym miejscu dokładnie za trzy dni.

Następnie odprowadził go, znowu przepaszając swych gości za wymuszoną niegrzeczność, po czym przerwany obiad trwał dalej. Tymczasem Hiszpan wydawał się bardziej zamyślony niż zwykle, a jego goście nie wątpili, wychodząc od niego, że otrzymał jakąś bardzo interesującą wiadomość.

Pozostawimy mieszkańców Arispe w ich domysłach, by przybyć przed don Estevanem na tajemnicze spotkanie, które zostało wyznaczone w miejscu położonym dokładnie przy drodze do presidio Tubac.

Wyjeżdżając z Arispe w kierunku wspomnianego presidio, napotyka się tylko w znacznych odległościach nędzne chaty, czasami

skie presidio; pierwszy hiszpański garnizon kolonialny w dzisiejszej Arizonie (dawniej stan Sonora); w XVIII wieku wyludniona, w XIX wieku obszar ten został ponownie zaludniony przez górników, rolników i farmerów; w latach 40. XIX wieku, wielokrotnie te tereny atakowali Indianie, zmuszając mieszkańców Sonory do porzucenia zarówno Tumacacori, jak i Tubac.

zgrupowane blisko siebie, lecz jeszcze częściej odosobnione. Te domostwa dzielą takie odległości, jakie koń może pokonać przez dobę. Z tego wynika, że tworzą przystanki dla podróżnych zmierzających ku granicy. Podróżni jednak nie są liczni, więc mieszkańcy tych chat spędzają część swego życia w głębokiej samotności. Poletko kukurydzy, które uprawiają, kilka sztuk bydła, które tuczą się na wonnych pastwiskach nadających ich mięsu wysmienity smak, zawsze pogodne niebo, ale przede wszystkim cudowna wstrzemięźliwość sprawiają, że ci gospodarze pustkowi żyją, jeżeli nie w zamożności, to przynajmniej nie doznając niedostatku. Jakież żądze mogą się rodzić w człowieku, któremu błękitne niebo służy za dach i który znajduje w dymie cygara niezawodny środek przeciw szarpiącemu żołądek głodowi?

Pewnego ranka 1830 roku około trzech dni drogi od Arispe jakiś człowiek siedział, albo raczej pólleżał w drzwiach chałupy na jednym z tych ciekawie wykonanych wełnianych koców zwanych sarapes¹. Kilka rozrzuconych tu i ówdzie i całkowicie zaniedbanych chat wskazywało na jedną z tych wiosek, którą zamieszkuje ludność koczownicza tylko w porze deszczowej i przez część pory suchej. Kiedy zbiorniki zasilane wodą deszczową wyschną, te wioski zostają opuszczone, a ich mieszkańcy wracają dopiero wtedy, gdy zbiorniki znowu napełnią się wodą. Dwie drogi, zaledwie utworowane pośród gęstych lasów pokrywających całą okoliczną przestrzeń, przecinały się blisko miejsca, gdzie leżał podróżny. Nie wydawał się on bynajmniej zatrwożony głęboką samotnością, w jakiej się znalazł.

Jedynie kilka kraczących kruków przelatujących z drzewa na drzewo i wrzask czakalak² witających początek dnia przerywały głęboką leśną ciszę. Chociaż słońce już przesyłało nieco ciepła, gęsta mgła, która w tym klimacie rozpościera się nocą jak zasłona, dopiero zaczęła się rozpraszać, pozostawiając jeszcze tumany uczeplone wierz-

¹ *Sarape* (zarape) – wełniany koc używany przez mężczyzn w Meksyku jako okrycie wierzchnie.

² *Czkalaka* północna (*Ortalis vetula*) – gatunek ptaka z rodziny czubaczy (*Cracidae*) występujący w Ameryce Środkowej i południowej Ameryce Północnej; długość ciała do 46 cm; zamieszkuje lasy i zarośla; żywi się owocami, jagodami i pąkami.

chołków drzew żelaznych i meskitów¹. Pozostałości wielkiego ogniska, zapewne roznieconego w celu ochrony przed nocnym chłodem, posłużyły wówczas do gotowania posiłku jedynego mieszkańca tej wioski. Małe placuszki z mąki pszennej i kilka kawałków mięsa wysuszonego na słońcu piekły się na rozżarzonych głowniach, a człowiek, dla którego ten skromny posiłek był przeznaczony, zbyt nie troszczył się o pospieszne postępy pieczenia. Niedaleko od niego, ze skromnością dorównywującą wstrzemięźliwości swego pana, jego koń przeżuwał rzadką i zwiędłą trawę rosnącą na skraju lasu i drżał przy porannym wietrzyku. Wbrew zwyczajowi nie był spętany.

Strój jeźdźca składał się z kaftana bez guzików, wkładanego przez szyję jak koszulę, i z szerokich pantalonów z wygarbowanej skóry ceglastej barwy. Te spodnie, otwarte od kolan do pięt, pozwalały dojrzeć nogi okręcone wygarbowaną i wytłaczaną kozią skórą. Te bezkształtne buty były przytrzymywane szkarłatnymi podwiązkami², a w jednym z nich zatknięty był długi nóż w pochwie w taki sposób, że siedząc na ziemi lub na koniu, jego rękojeść zawsze była w zasięgu ręki. Pas z czerwonej chińskiej krepy³ i szeroki pilśniowy kapelusz obwiedziony sznurem, czyli *toquilla* z weneckich pereł⁴, składały się na malowniczy ubiór, którego barwy były zharmonizowane z kolorami sarape, gdzie pólleżał mężczyzna.

To przybranie wskazywało na jednego z tych ludzi przyzwyczajonych do galopowania pośród ciemnych zarośli i sawann Ameryki,

¹ *Drzewo żelazne* – nazwa stosowana wobec wielu gatunków drzew należących do różnych rodzin, pochodzących głównie z rejonów tropikalnych i subtropikalnych, wyróżniających się bardzo twardym drewnem; *meskity* (hiszp. *mesquite*) – pospolita nazwa kilku roślin z rodzaju *Prosopis*, który zawiera ponad 40 gatunków małych drzew strączkowych (do 8 m); pochodzą z południowo-zachodnich Stanów Zjednoczonych i Meksyku.

² *Podwiązka* – tu: w postaci opaski (także elastycznej) przytrzymującej w okolicy kolana pończochę lub skarpetę, a w tym przypadku skórzany but.

³ *Chińska krepa* – jeden z rodzajów krepy, tkaniny o chwycie ziarnistym, uzyskanym w wyniku zastosowania splotów krepowych lub przędz wielokrotnych o silnym i przeciwnego kierunku skręcie w sąsiednich nitkach albo o obu tych rozwiązaniach jednocześnie.

⁴ *Pereły weneckie* – imitacje pereł wykonane ze szkła weneckiego; paciorki, koraliki.

k którzy w swych wyprawach, niezależnie od tego, czy to mających na celu obławę, czy też z jakiegokolwiek innej przyczyny, nocują w rozmaitych miejscach – czy to pod dachem, czy pod gołym niebem, na równinie lub w lesie. Na twarzy tego osobnika malowała się osobliwa mieszanina brutalnego okrucieństwa i szyderczej dobroduszości. Podsumowując, jego zakrzywiony nos, gęste brwi, czarne oczy błyskające od czasu do czasu złowrogim płomieniem, wybitnie zaprzeczały wyrazowi jego ust, niekiedy nadmiernie uśmiechających się, by od pierwszego wejrzenia nie obudzić żywego wstrętu połączonego z trwogą.

Pomimo pozornej siły, wysokiego wzrostu i groźnego wyrazu jego rysów, prawie wątych końcówek kończyn, coś zawoalowanego w jego spojrzeniu odkrywało ciągle niezupełną naturę amerykańskiego Kreola¹. Jest faktem godnym odnotowania, że tylko Europejczykowi, wiecznemu zdobywcy trzech innych światów, Bóg dał to, czego odmówił Amerykaninowi z Południa, Afrykaninowi i Azjacie, czyli badawczy umysł, który śledzi, inteligencję, która rozumie, geniusz, który tworzy, siłę, która wykonuje, kompletną organizację – jednym słowem duszę ze stali w żelaznym ciele.

Krótki karabinek leżący przy jeźdźcu uzupełniał, wraz z długim nożem utkwionym w bucie, obraz niebezpiecznego kompana, z jakim można się spotkać na pustkowiu.

Z jego nonszalanckiej postawy wyraźnie wynikało, że czekał na kogoś, ale ponieważ wszystko na pustkowiu przybiera wielkie proporcje, może po trzech dniach drogi, by dotrzeć do miejsca, w którym się teraz znajdował, bandyta, gdyż wszystko wydawało się wskazywać na jednego tych ludzi wyjętych spod prawa, ten bandyta, jak powiedzieliśmy, nie okazywał tego gorączkowego oczekiwania dręczącego często pierwszego przybyłego na miejsce spotkania w środku zaludnionego miasta. Na pustkowiu ten, kto pokonał sto mil, może czekać ze sto godzin. Przeciwnie ma się rzecz w wielkich miastach, gdzie życie pędzi jak potok pomiędzy dwoma ściśniętymi brzegami,

¹ *Kreol* – potomek kolonizatorów, głównie hiszpańskich oraz portugalskich i francuskich, urodzony w Ameryce Południowej lub na południu Stanów Zjednoczonych.



Z jego nonszalanckiej postawy wyraźnie wynikało, że czekał na kogoś.

godzina marszu wystarcza na kwadrans oczekiwania, bowiem przechadzka staje się tam podróżą, a kwadrans wiekiem.

Dlatego też, gdy doszedł jego uszu tętent końskich kopyt pośród dźwięcznych głębin lasu, nieznajomy ograniczył się do spokojnej zmiany pozycji, podczas gdy jego koń zarżał radośnie i uniósł łeb. Słuchał. Odgłosy kroków powoli ustawały, jakby jeździec się wahał, wreszcie na skrzyżowaniu dwóch dróg ukazał się nowo przybywający. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu z gęstą i czarną brodą, podobnie jak pierwszy osobnik odziany w skórzaną odzież, siedzący na koniu, wydający się równie silny, co zwrotny. Ci dwaj ludzie, spostrzegłszy się nawzajem, wysnuli takie same refleksje usprawiedliwione ich równie podejrzanymi fizjonomiami.

– *Caramba!* – szepnął nowo przybyły. – Gdybym nie został uprzedzony, że ten jeździec jest tym samym, do którego zostałem wysłany, pomyślałbym, że dojdzie do złego spotkania.

Tymczasem leżący człowiek mówił do siebie:

– Na Boga, gdyby ta przekłeta siódemka bastos¹ pozostawiła mi kilka piastrów w kieszeni, uważałbym je za narażone na stratę!

Tymczasem jeździec nie wydawał się dłużej wahać i dawszy ostrogi² koniowi, który na to skoczył blisko główki ogniska, uprzejmie zdjął kapelusz i zapytał:

– Zapewne mam zaszczyt mówić z señorem³ don Pedro Cuchillo?

– Osobiście z nim, señor – odpowiedział mężczyzna nazwany Cuchillem, wstając z równą uprzejmością.

– Ja jestem posłańcem pana Arechizy, którego wyprzedzam o kilka godzin – rzekł nowo przybyły. – Nazywam się Manuel Baraja, do pańskich usług.

– Niech więc señor raczy zsiąść z konia – rzekł Cuchillo.

Nowo przybyły nie dał sobie powtórzyć tego zaproszenia, po czym odczepiwszy z pięt swoje ogromne ostrogi, szybko rozsiodłał konia,

¹ *Basto* (hiszp.) – trefl – kolor w kartach.

² *Ostrogi* – część oporządzenia jeźdźcy ułatwiająca prowadzenie konia, przede wszystkim pobudzająca go do biegu; są to kabłąki wykonane z metalu, z kołcem lub zębatym kółkiem i gwiazdką, przypinane do butów; używane od starożytności; w średnio-wiecznej Europie oznaka stanu rycerskiego.

³ *Señor* (hiszp.) – pan, tytuł grzecznościowy.

zawiązał mu na szyję długi rzemień i uderzywszy go w bok dłonią, wyprowadził go bez dalszych ceregieli, by podzielał się skąpą paszą jego towarzysza.

W tej chwili mięso piekące się na węglach zaczynało wydawać woń, którą można było porównać do zapachu gasnącej lampy. Baraja rzucił w tę stronę pożądliwe spojrzenie.

– Wydaje mi się, señorze Cuchillo – powiedział – że sobie niczego nie odmawiasz. *Caramba! Tortillas*¹ z pszennej mąki, *cecine*², to książęcy posiłek!

– Przyznaję – odparł Cuchillo z pewną zarozumiałością – że sobie dogadzam, a poza tym przyjemnie mi, że te potrawy przypadły ci do gustu, ponieważ są do pańskiej dyspozycji.

– Jest pan zbyt łaskaw i przyjmuję bez ceremonii, gdyż ranne powietrze dodało mi apetytu.

– Czy mam, señorze Cuchillo, powiedzieć ci, co sobie pomyślałem, kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem? – zapytał Baraja, nabijając na czubek swego długiego noża kawałek *cecine* z węgli.

– Obraziłbyś moją skromność – odpowiedział Cuchillo. – Raczej wolę powiedzieć ci, jaką przyjemność sprawił mi twój widok.

Dwaj nowi przyjaciele wymienili ukłony pełne uprzejmości i wrócili do jedzenia. Cuchillo znowu zabrał głos.

– Czy pozwolisz, panie Baraja, że trochę porozmawiamy o naszych sprawach? – zapytał.

– Bardzo chętnie!

– Zatem don Estevan de Arechiza otrzymał pismo, które do niego posłałem?

– Tak, otrzymał – odparł Baraja – jednak jaka była treść tego pisma, to wiecie tylko ty i on.

– Spodziewam się – szepnął Cuchillo.

– Wielmożny pan Arechiza – mówił dalej wysłannik – miał właśnie wyruszyć do Tubac, kiedy otrzymał twój list. Miałem mu towarzyszyć, ale kazał mi wyjechać naprzód, mówiąc: „W małej wiosce

¹ *Tortillas* (hiszp.) – placki, zazwyczaj z mąki kukurydzianej.

² *Cecine* (hiszp.) – suszone mięso.

Huerfano zastaniesz człowieka o nazwisku Cuchillo. Powiesz mu, że interes, który mi proponuje, zasługuje na poważne rozważenie, a skoro miejsce, gdzie na mnie oczekuje, leży właśnie na drodze do Tubac, będę się mógł z nim zobaczyć przy moim przejeździe”. To działo się w przeddzień wyjazdu don Estevana. Wyruszyłem wcześniej od niego, by wykonać jego rozkazy, i jak ci powiedziałem, wyprzedzam go tylko o kilka godzin.

– Dobrze – odpowiedział Cuchillo. – No cóż, panie Baraja, jeżeli moja sprawa się skończy, w co nie wątpię, będę razem z tobą członkiem tej wyprawy, o której wieść doszła do mnie i która była początkiem propozycji, jaką uczyniłem jej dowódcy. Ale – mówił dalej bandyta – niewątpliwie musisz być zaskoczony osobliwym miejscem, gdzie czekam na señora Arechizę?

– Bynajmniej – odpowiedział Baraja. – Sądziłem, że masz swoje powody, by lubić samotność. Zresztą kto czasami tego nie potrzebuje?

Najwdzięczniejszy uśmiech na twarzy Cuchilla pokazywał, że jego nowy przyjaciel odgadł trafnie.

– Dokładnie... Złe zachowanie pewnego przyjaciela wobec mnie, irytująca wrogość alkada Arispe sprawiły, że poszukałem tej cichej samotni. Oto, dlaczego założyłem moją główną kwaterę w tej opuszczonej wiosce, w której nikt o mnie nie myśli.

– Zbyt wysoko sobie cenię Waszą Wielmożność – rzekł Baraja, smakując kawałek zwęglonego mięsiwa – abym nie był przekonany, że cała wina leży po stronie alkada, a zwłaszcza po stronie twojego przyjaciela.

– Dziękuję za dobrą opinię o mnie – odpowiedział Cuchillo, połykając z kolei z doskonałą obojętnością placek surowy z jednej strony, a z drugiej spalony. – Sam to osądzisz.

– Słucham – rzekł Baraja, pozwalając sobie przejść do poziomej pozycji – po dobrym posiłku niczego innego tak nie lubię, jak posłuchać jakiejś dobrej historii.

Następnie towarzysz Cuchilla wydawał się pogrążony w zupełnej błogości i z twarzą zwróconą ku niebu z upodobaniem przypierał się olśniewającemu lazuru.

– Historia nie jest ani długa, ani ciekawa, i to, co mi się przydarzyło, może się przytrafić każdemu. Grałem w karty z jednym przyjacielem. Ten przyjaciel twierdził, że oszukuję. Doszło do sprzeczki.

Opowiadający zrobił pauzę, by podnieść do ust bukłak¹ napełniony wodą, po czym kontynuował:

– Mój przyjaciel był tak niedelikatny, że dał się zabić!

– Jak to, przez sprzeczkę?

– Nie, ale dźgnięcia nożem, które później nastąpiło – odpowiedział z pełną gębą Cuchillo.

– Wiedziałem, chociaż krzywda była po stronie twego przyjaciela.

– Alkad tak nie uważał i prześladował mnie w dziwaczny sposób, a jednakże przebaczyłbym mu cierpkość jego obchodzenia się ze mną, gdybym sam nie był rozjątrzony złym postępowaniem przyjaciela, którego dotąd szanowałem.

– Zawsze mamy powód do uskarżania się na przyjaciół – stwierdził sentencjonalnie Baraja, wypuszczając ku niebu kłęb dymu z papierosa skręconego z kukurydzianej słomy.

– W każdym razie – rzekł Cuchillo – poprzysiągłem sobie już nie grać, gdyż gra była, jak widzisz, początkiem tego ostatniego przypadku.

– Jest to rozsądne postanowienie – odparł Baraja – a ja również obiecałem sobie nie dotykać kart, ponieważ gra doszczętnie mnie zrujnowała...

– Zrujnowała! Więc był pan bogaty?

– Niestety tak! Miałem hacjendę² i dużo bydła, ale miałem także rządcę. Policzylem się z nim tylko jeden raz – rzekł z westchnieniem Baraja – ale już było za późno, gdyż połowa mego majątku stała się jego własnością.

– I co wówczas zrobiłeś?

¹ *Bukłak* – worek ze skóry zwierzęcej przeznaczony do przechowywania wody, wina lub innych płynów; używany pierwotnie przez ludy koczownicze.

² *Hacjenda* – gospodarstwo rolne w Hiszpanii i w krajach Ameryki Łacińskiej; przeznaczone głównie do hodowli bydła.

– Jedyne, co mi pozostało do zrobienia – odpowiedział z twarzą mentora Baraja. – Zaproponowałem mu, by zagrać o tę jego połowę przeciw mojej. Zgodził się po pewnych ceregielach.

– Ceregielach? – przerwał Cuchillo. – Patrzcie, co za łajdak.

– Jestem bardzo bojaźliwy, kiedy gram przy świadkach – rzekł Baraja – a oprócz tego lubię świeże powietrze. Zaproponowałem zatem mojemu rządcy, żebyśmy zagrali w bardzo oddalonym miejscu, gdzie moja naturalna lekliwość czułaby się bardziej pewniejsza. Pojmuje pan, że gdybym utracił tę ostatnią część mojego majątku, jaką zmianę... mam na myśli, jaką ulgę mogło przynieść mojemu bólowi świeże leśne powietrze... cisza... najzupełniejsza samotność! Mój rządca nie podzielał jednak mojego zamięłowania do świeżego powietrza i do odosobnienia i uznał za warunek, byśmy grali w obecności świadków. Przy tym przyjął moją propozycję.

– I byłeś zmuszony się na to zgodzić?

– Ku memu wielkiemu ubolewaniu – odparł Baraja.

– I przegrałeś, będąc tak bojaźliwym, w obecności świadków? – rzekł z niewzruszoną powagą Cuchillo.

– Przegrałem tę drugą połowę, podobnie jak pierwszą. Z całego mojego majątku pozostał mi jeden koń, chociaż mój były rządca twierdził, że należał do przegranej. Dziś mam tylko nadzieję dorobienia się czegoś w wyprawie do Tubac, której jestem członkiem, a ostatni środek, jaki mi pozostaje, to przyjąć służbę u mojego oszusta, abym teraz mógł powetować swoje straty. Od tego czasu poprzysiągłem nie grać więcej... *Caramba!* Dotrzymałem mojej przysięgi.

– Jak dawno ci się to przydarzyło?

– Pięć dni temu – odparł Baraja.

– Do diabła! Twoja wierność w dotrzymaniu przysięgi jest godna pochwały!

Obaj awanturnicy, wymieniwszy między sobą te poufne zwierzenia, zaczęli rozmawiać o nadziei, jaką pokładali w najbliższej wyprawie, o cudach, jakie słyszeli o krainie, którą mieli zbadać, o niebezpieczeństwach zagrażających im pośród nieznanых pustkowi.

– Ale, ba! – rzekł Baraja. – Lepiej umrzeć, niż żyć z dziurami na łokciach.

– To zależy – odpowiedział Cuchillo. – Należę do tych, którzy wolą ludzi z dziurami niż z monetami.

Tymczasem okolica zaczęła płonąć słonecznym ogniem. Palący wiatr wstrząsał koronami drzew albo zamiatał wyschlą trawę. Konie obu awanturników rżały żałośnie, dręczone pragnieniem, gdy tymczasem ich panowie szukali cienia pod rzadkimi liśćmi meskitów.

Baraja znowu zabrał głos.

– Będziesz się ze mnie śmiał, señorze Cuchillo – powiedział, wachlując się szerokim kapeluszem – ale gdy nie gram, czas mi się bardzo dłuży.

– To tak jak mnie – ziewając, odpowiedział Cuchillo.

– Czy zgodziłbyś się zagrać na słowo honoru o małą ilość tego złota, które jedziemy zbierać?

– Nie śmiałem nawet tego panu proponować, señorze Baraja, ale przyjmuję.

Otóż tak się zdarzyło, że ci dwaj mężczyźni, którzy wyrzekli się gry, mieli ze sobą po talii kart i już mieli rozpocząć grę, gdy rżenia i dźwięk dzwonek, szelest kroków i głosów, które nagle usłyszeli, oznajmiły prawdopodobne przybycie ważnej osobistości, oczekiwanej przez Cuchilla.



Rozdział II

Pakt

Dwaj przyjaciele zaniechali mającej się rozpocząć gry i odwrócili głowy w stronę, z której dobiegały hałasy.

W rozgałęzieniu dwóch dróg nagle podniesiony tuman kurzawy wskazywał na przybycie liczego stada koni, które zamożne albo znakomite osobistości w stanie Sonora mają w zwyczaju prowadzić przed sobą w podróży. Zwierzęta te z rasy przyzwyczajonej do swobodnego biegania po ogromnych pastwiskach zachowują taką dziarskość po przebyciu dwudziestu mil bez zaprzęganania lub dosiadanania, jakby je dopiero wyprowadzono ze stajni. Są po kolei zaprzęgane podczas ciągu długich podróży, które w ten sposób są odbywane z szybkością dorównującą europejskim dyliżansom pocztowym, gdzie każda stacja przepręgowa dostarcza świeżych koni. Zgodnie ze zwyczajem klacz z dzwonkiem, która pełni rolę przodownika, poprzedzała remudę¹ złożoną z około trzydziestu koni.

Jeździec z orszaku podróżnych zbliżających się tak okazałe, pędził galopem. Wyścignął konie i zatrzymał klacz, a po chwili całe stado również stanęło. Pośród kurzawy, którą wiatr rozpraszał z obu stron, wkrótce ukazała się gromadka składające się z pięciu jeźdźców. Dwóch spomiędzy nich wydawało się panami pozostałych trzech, dość blisko posuwających się za nimi.

Pierwszy z tych dwóch jadących na czele był mężczyzną o wzroście powyżej średniego. Zdawało się, że miał przeszło czterdzieści lat. Niski szary pilśniowy kapelusz z szerokim rondem zabezpieczał go przed palącymi promieniami słońca. Miał na sobie dolman z ciemnoniebieskiego sukna, bogato szamerowany jedwabnymi galo-

¹ *Remuda* (od hiszp. „zmiana koni”) – stado koni na zmianę, którym opiekują się kowboje.



Dwaj przyjaciele zaniechali mającej się rozpocząć gry
i odwrócili głowy w stronę, z której dobiegały hałasy.

nami¹, który prawie w całości zakrywała haftowana jasnoniebieskim jedwabiem biała chusta, zwana *pano de sol*. Pod ognistą atmosferą biel tego rodzaju okrycia, podobnie jak arabski burnus² służyło do odbijania promieni słonecznych. U jego butów z kordybanu³ o płowej barwie, szerokie rzemienie obwiedzione srebrną i złotą taśmą przytrzymywały żelazne ostrogi. Ich kółka z pięcioma długimi ostrymi kolcami i ich dźwięczne łańcuszki kołysały się ze srebrzystym brzękiem, przy którym meksykańscy jeźdźcy lubią utrzymywać rytm poruszania się swych koni. Płaszcz do konnej jazdy zwany mangą, bogato ozdobiony złotem, zwieszał się z obu stron siodła i pokrywał swymi fałdami szerokie pantalony spięte na całej długości nóg srebrnymi filigranowymi⁴ guzikami. Na koniec jego czaprak⁵, haftowany podobnie jak rzemienie ostróg, uzupełniał przybranie, którego całość w oczach Europejczyka przywołuje wspomnienia innych wieków. Zresztą ten jeździec nie potrzebował bogatego stroju, by uwydatnić wspaniałą postawę, ujawniającą nawyk dowodzenia i przebywania w wielkim świecie.

Jego młodszy towarzysz był ubrany znacznie bardziej pretensjonalnie, jednak małoznaczna figura i postawa, chociaż niepozbawiona pewnej elegancji, daleka była od arystokratycznego wyglądu jeźdźca w haftowanej chuście.

¹ *Dolman* – obcisła kurtka mundurowa pochodzenia węgierskiego, noszona w XIX wieku w oddziałach huzarów i szaserów, bogato zdobiona szamerunkami, zarzucana zwykle na lewe ramię; *szamerowanie*, szamerunek – przybranie, obszycie (dla ozdoby) ubioru galonem, sznurem, taśmą; *galon* – naszywka z taśmy na mundurach.

² *Burnus* – obszerny, długie okrycie z kapturem, najczęściej z białej wełny, noszone przez Arabów.

³ *Kordyban* (kurdyban) – wytłaczana, barwiona skóra kozła, w gorszych gatunkach cielęca i owcza; kordybany były używane przede wszystkim na barwne obuwie, a także na obicia ścian i mebli; wyrób kordybanów rozwinął się w średniowieczu w Kordobie (stąd nazwa), od XV-XVI wieku również w środkowej Europie; w Polsce cechy kordybaniarskie powstały w XVI wieku, zanikły w XIX wieku.

⁴ *Filigran* – technika wykonywania ornamentów i przedmiotów z cienkich drucików łączonych w misternie desenie; też: przedmiot wykonany tą techniką.

⁵ *Czaprak* – płócienna, filcowa, sukienna lub niekiedy futrzana podkładka pod siodło chroniąca grzbiet konia przed obtarciami, nazywana też potnikami; dawniej określano tak również ozdobną tkaninę nakładaną pod siodło lub na wierzch, pokrywającą całe zwierzę lub jego zad.

Trzej służący podążający za nim z twarzami poczerwiałymi od słońca, o prawie dzikim wyglądzie, z długimi lancami ze szkarłatnymi proporczykami i wiązką plecionych skórzanych rzemieni, zwanych *lazos*¹, zawieszonych na łęku siodła, nadawali zbliżającej się gromadce dziwaczny wygląd, właściwy obyczajom amerykańskim. Za trzema służącymi podążały dwa muły obciążone ogromnymi walizkami zawierającymi materace potrzebne na postoju, a inne niosły podróżne kufry.

Na widok Cuchilla i Barajy zatrzymał się pierwszy z jeźdźców, a zaraz za nim zrobił to też cały orszak.

– To wielmożny don Estevan – rzekł półgłosem Baraja. – Oto wspomniany człowiek – kontynuował, przedstawiając bandytę jeźdźcowi odzianemu w *pano de sol*.

Don Estevan, bowiem był to on, spojrzał na Cuchilla ostrym wzrokiem, który zdawał się przenikać do głębi jego duszy, i wykonał gest zaskoczenia.

– Mam honor ucałować rękę Waszej Wysokości – rzekł Cuchillo. – To rzeczywiście jestem ja...

Pomimo swej zwykłej zuchwałości bandyta zatrzymał się, drżąc w miarę, jak nieokreślone wspomnienia na nowo układały się w jego pamięci, ponieważ ci dwaj ludzie nie widzieli się ze sobą od wielu lat.

– Ejże, jeżeli się nie mylę – powiedział szyderczym tonem Hiszpan – pan Cuchillo i ja jesteśmy starymi znajomymi, choć niegdyś nie nosił takiego nazwiska.

– Podobnie jak Wasza Wysokość, który wtedy nazywał się...

Arechiza zmarszczył brwi, a jego czarne wąsy najeżyły się. Cuchillo nie dokończył, gdyż zrozumiał, że powinien zamilknąć i nie mówić o tym, o czym wiedział. Ten rodzaj współudziału przywrócił mu zwykłą pewność siebie.

– Według mnie nazwisko jest jak bojowy rumak – powiedział śmiało – bo jak jeden zostanie pod nami zabity, to go zmieniamy.

¹ *Lazo* (hiszp.) – łąso.

Cuchillo rzeczywiście był jednym z tych ludzi, którym udaje się przywiązywać szybką i smutną sławę do nazwisk, jakie przybiera ją, a Cuchillo często je zmieniał.

– Panie senatorze – rzekł Arechiza, zwracając się do swego towarzysza podróży – czy to miejsce nie wydaje się panu stosowne, by zatrzymać się tu na *sjestę*¹ w czasie panującego upału?

– Pan Tragaduros y Despilfarro będzie mógł znaleźć cień wybranej przez siebie chaty – odezwał się Cuchillo, który znał już senatora z Arispe.

Wiedział dobrze, zwątpiwszy w swoją sprawę, że przywiązał się do losu don Estevana po to, by próbować nowej szansy na odzyskanie już dawno utraconego majątku. Pomimo złego stanu swoich finansów senator nadal posiadał realne wpływy w kongresie stanu Sonora, z których don Estevan już dobrze korzystał.

– Z całego serca popieram pańskie życzenia – odpowiedział Tragaduros – tym bardziej że już od pięciu godzin jesteśmy w drodze.

Dwóch służących zsiadło z koni, by przyjąć uzdy koni swych panów, a dwaj inni ściągali pakunki z mułów. Następnie rozłożyli łóżka dla senatora i don Estevana w najbardziej schludnych chatach.

Pozostawimy senatora, który rzucił się w ubraniu na materac, a następnie głęboko zasnął, co było udziałem sprawiedliwych i podróżnych, aby towarzyszyć Arechizie w chacie, mieszczącej się w pewnej odległości od Tragadurosa.

Wszedłszy za don Estevanem, na jego wezwanie Cuchillo zamknął starannie bambusową plecionkę służącą za drzwi, jakby obawiał się, aby najłżejszy szmer nie przeniknął z zewnątrz, i czekał, aż Hiszpan pierwszy się do niego odezwie.

Ten usiadł na rozłożonym żelaznym łóżku polowym, gdy tymczasem Cuchillo usadowił się na czaszce wołu zastępującej stół według zwyczaju panującego w tych krajach, gdzie luksus posiadania stołków ograniczał się do samego wynalazku, przynajmniej dla biedniejszych klas.

¹ *Sjesta* (z hiszp. *siesta*) – wypoczynek południowy, drzemka poobiednia; w krajach o gorącym klimacie przerwa w pracy podczas największego upału; w przenośni każdy wypoczynek.

– Przypuszczam – odezwał się Arechiza, przerywając milczenie – że masz tysiąc powodów, by życzyć sobie, abym cię znał tylko pod obecnym nazwiskiem Cuchillo. Tymczasem ja, bez wątpienia z innych powodów niż twoje, pragnę być tutaj jedynie don Estevanem de Arechiza i nikim więcej. Zatem, mości Cuchillo – mówił dalej z pewną szyderczą przesadą – czy wyznasz mi tę ważną tajemnicę, która ma przynieść tobie, a także mnie bogactwo?

– Jeszcze chwila uwagi, a dowiesz się o wszystkim, wielmożny don Estevanie de Arechiza – odpowiedział Cuchillo prawie tym samym tonem.

– Słucham cię, ale przede wszystkim bez żadnego ukrytego motywu, żadnej perfidii. Jesteśmy w okolicy, gdzie nie brakuje drzew – powiedział surowo Hiszpan – a ty dobrze wiesz, jak karzę zdrajców.

Na to nawiązanie do przeszłości, które niewątpliwie wiązało się z jakimś tajemniczym wspomnieniem, twarz bandyty stała się pokryta jakby siną chmurą.

– Tak, przypominam sobie – rzekł – że to nie było z pańskiej winy, że nie zostałem zawieszony na drzewie. Być może byłoby roztropniej nie przypominać mi dawnej zniewagi, pamiętać o tym, że nie jest już pan w podbitym kraju i że jak pan mówi, jesteśmy wśród lasów, ale lasów ciemnych, a zwłaszcza milczących...

W tej odpowiedzi Cuchilla przebijała się tak oczywista pogrożka, połączona z jego wyglądem i jego złowrogą przeszłością, że wymagało to pewnej stałości serca, aby nie żałować, że się wywołało wspomnienie takiej natury. Don Estevan uśmiechnął się tylko zimno do bandyty.

– Dlatego też tym razem nikogo nie oskarżę o egzekucję zdrajcy – powiedział, rzucając na Cuchilla spojrzenie, które sprawiło, że spuścił wzrok. – Co się tyczy twoich pogrozek, zachowaj je dla ludzi twojego rodzaju i nie zapominaj, że pomiędzy moją piersią a twoim sztyletem zawsze będzie istniała przestrzeń nie do pokonania.

– Kto wie? – mruknął Cuchillo, jednakże ukrył wrzący w nim gniew.

Po czym dodał łagodniejszym tonem:

– Ale ja nie jestem zdrajcą, señorze don Estevan, a interes, który chcę panu zaproponować, jest uczciwy.

– Zobaczymy więc, co to jest.

– Musi pan wiedzieć – ciągnął Cuchillo – że kilka lat temu wybrałem sobie zawód gambusino; przemierzałem wiele krain pomiędzy czterema stronami świata i widziałem to, czego być może żadne oko ludzkie nie widziało, jeśli chodzi o pokłady złota.

– Widziałeś i nie zabrałeś! – stwierdził tonem pełnym szyderstwa Hiszpan.

– Niech pan nie kpi, don Estevan – odpowiedział uroczyście Cuchillo. – Widziałem placer złota na tyle zasobny, że ten, który go posiadzie, będzie mógł grać przez cały rok, stawiając piekielne stawki przy największym nieszczęściu, wystarczająco bogaty, by nasycić najbardziej nienasyconą ambicję, wreszcie dość bogaty, by mógł kupić całe królestwo.

Don Estevan, słysząc te słowa, być może odpowiadające jakiemuś życzeniu, które ukrywał bardzo głęboko w swoim sercu, nie mógł opanować drżenia.

– Tak bogaty – mówił dalej bandyta z uniesieniem – że nie zawałałbym się oddać swojej duszy diabłu...!

– Diabeł nie jest tak głupi, aby cenił tak wysoko duszę, którą zawsze będzie mógł mieć za darmo. W jaki sposób odkryłeś ten placer?

– W całej prowincji Sonora był jeden słynny gambusino. Ten gambusino za swego życia nazywał się Marcos Arellanos. Odkrył tę bonanzę¹ razem z drugim gambusino, ale w chwili, gdy już mieli zagarnąć skarby, a przynajmniej ich część, napadli na nich Indianie. Towarzysz Arellanosa został zabity, a Marcos z wielkimi kłopotami zdołał umknąć. Był w drodze do domu, kiedy przypadek sprawił, że zawarliśmy znajomość w Tubac. Tam proponował mi powtórna wyprawę, na co się zgodziłem, i wyruszyliśmy w drogę. Dotarliśmy do Złotej Doliny, tak bowiem nazywał to miejsce. Mocny Boże! – zawołał Cuchillo. – Trzeba było widzieć te bryłki złota iskrzące się

¹ *Bonanza* – bogata żyła (złoże) złota przy powierzchni ziemi.

w słońcu, przedstawiające oczom tysiączne zachwycające wizje! Niestety, mogliśmy tylko nasycić nasz wzrok, bowiem także musieliśmy uciekać. Wróciłem sam... Biedny Arellanos! Bardzo go żałowałem. No cóż! To właśnie tę tajemnicę Złotej Doliny chcę ci sprzedać.

– Sprzedać mi? A kto mi poręczy za twoją wierność?

– Mój interes. Sprzedaję panu moją tajemnicę, ale nie zrzekam się praw do tego placeru. Na próżno próbowałem zebrać wyprawę podobną do twojej, lecz nie udało mi się. Tobie zapewnia pewność twoich osiemdziesięciu ludzi, dlatego też zgłosiłem się do pana. Pański odliczony udział i jedna piąta, która należy się panu jako dowódcy, pochłonie część skarbu, ale odliczywszy udziały tych ludzi, których stracimy, dla pozostałych zostanie tyle, że każdy z nas będzie mógł żyć w luksusie do końca swych dni. Jako przewodnik wyprawy żądam więc dla mnie oprócz opłaty za moją tajemnicę dziesiątej części zdobyczy, bowiem będę dla was przewodnikiem i zakładnikiem.

– To dla mnie zrozumiałe. Ileż żądasz za wyjawienie swojej tajemnicy?

– Drobnostki. Wystarczy mi dziesiąta część, jeśli mi taką przyznasz, ponieważ nie mogę sam zagarnąć tych niedostępnych skarbów. Oprócz tego Wasza Wysokość opłaci za mnie udział w wyprawie, który szacuję na pięćset piastrow.

– Jesteś roztropniejszy niż sądziłem, Cuchillo – odpowiedział Arechiza. – Zgadzam się dać ci pięćset piastrow i dziesiątą część zdobyczy.

– Jakakolwiek się okaże?

– Jakakolwiek. Teraz masz moje słowo, ale musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań, które muszę ci zadać. Czy ta Złota Dolina leży na trasie, którą wybrałem dla mojej wyprawy?

– Placer leży za presidio Tubac, a ponieważ wyprawa wyruszy z tego miejsca, nie będzie pan musiał zmieniać swojej marszruty.

– Dobrze. Twierdzisz, że na własne oczy widziałeś tę Złotą Dolinę?

– Widziałem ją, nie mogąc do niej dotrzeć, widziałem ją, zgrzytając zębami jak potępiony, który pośród piekielnych płomieni spo-

strzegłby obraz raju – odparł Cuchillo, a jego twarz niewątpliwie wyrażała cierpienie zawiedzionej chciwości.

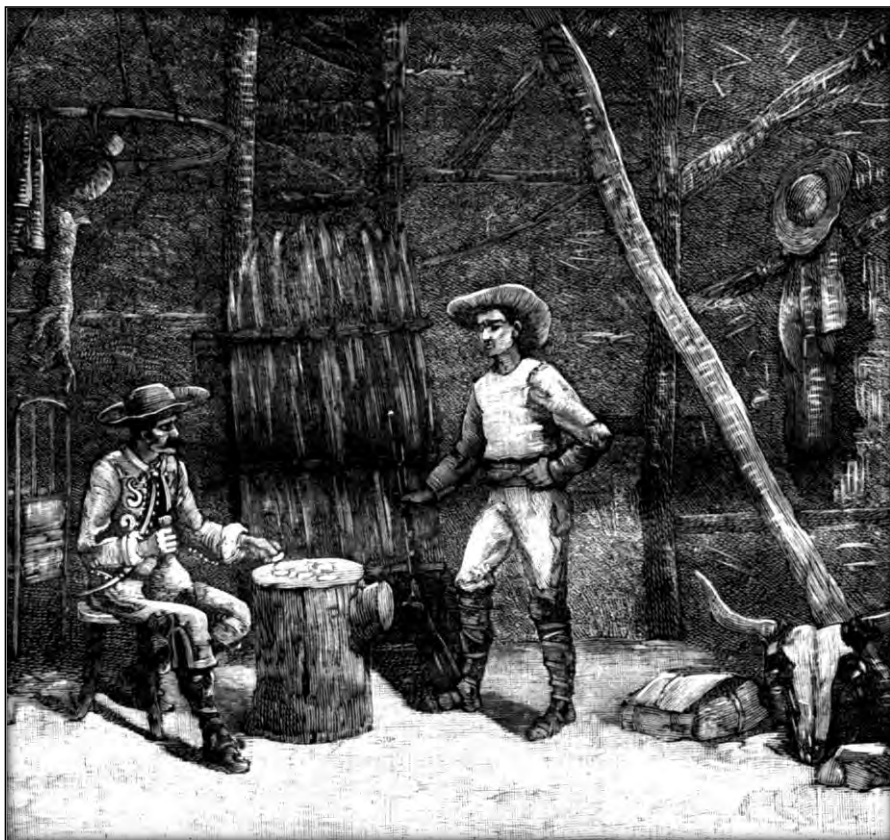
Arechiza zbyt dobrze umiał wyczytywać z ludzkiej twarzy tajemne uczucia serca, by mógł dłużej wątpić w prawdomówność Cuchilla. Poza tym pięćset piastrow było dla niego mało znaczącą sumą, a zresztą czy ambitny człowiek nie jest czasami zmuszony zdać się na los szczęścia? Wstał z łóżka i z niedużej, ale bardzo ciężkiej hebanowej szkatułki, umieszczonej przy wezglowiu łóżka, wyciągnął woreczek z jeleniej skóry, zaczerpnął garść podwójnych dublonów¹. Odliczył trzydzieści dwie sztuki Cuchillowi, który je starannie przeliczył, zanim włożył do kieszeni. Otrzymał nieco więcej, niż chciał, ale nie uskarżał się na to i na hiszpańską modłę skrzyżowawszy kciuk z palcem wskazującym, oświadczył:

– Przysięgam na krzyż, że powiem prawdę i tylko prawdę. Podążając przez dni dziesięć za Tubac w kierunku północno-zachodnim, dotrzemy do podnóża łańcucha gór. Łatwo go rozpoznać, gdyż dniem i nocą okrywa je gęsta mgła. Wzdłuż tego ciągu wzgórz przepływa mała rzeczka. Należy posuwać się zgodnie z jej biegiem aż do jej ujścia do drugiej rzeki. Tam, w miejscu, gdzie się łączą, tworząc język ziemi, wznosi się urwiste wzgórze, którego szczyt zwieńczony jest grobowcem wodza Apaczów. Gdybym się tam nie dostał, łatwo go pan rozpozna po dziwacznych, wyróżniających go ozdobach. U podnóża góry rozciąga się jezioro, a obok niego wąska dolina. Jest to właśnie Złota Dolina, do której wody deszczowe spłukały ogromne skarby.

– Marszruta jest łatwa do zrozumienia – rzekł Arechiza.

– Ale trudna do zrealizowania – odpowiedział Cuchillo. – Jałowe pustkowia do pokonania to tylko najmniejsza z przeszkód. Nieustannie przemierzają je hordy Indian. Grobowiec jednego z ich wodzów, któremu oddają zabobonną cześć, jest celem ich wędrówek,

¹ *Dublon* – złota moneta hiszpańska bita w latach 1537-1817; we Francji nazywano ją „poczwórna”, w odróżnieniu od francuskiego dublona, który stanowił wartość dwóch pistoli.



Odliczył trzydzieści dwie sztuki Cuchillowi, który je starannie przeliczył,
zanim włożył do kieszeni.

i właśnie w czasie jednej z tych pielgrzymek zaskoczyli nas, to jest Arellanosa i mnie.

– A czy ten Arellanos nikomu innemu nie wyjawiał tej tajemnicy oprócz ciebie? – zapytał Hiszpan.

– Wiadomo panu – odpowiedział Cuchillo – że przed wyprawą gambusinos przysięgają na ewangelię nie ujawniać żadnych bonanz, które zdołają odkryć, jak tylko za zezwoleniem swoich współników. Arellanos złożył podobną przysięgę i śmierć współnika przeszkodziła mu ją zdradzić.

– Czy nie powiedziałeś mi, że po tej swojej pierwszej wyprawie wrócił do domu i że właśnie w Tubac przypadkowo się z nim poznałeś? Czy nie miał żony, której mógł się zwierzyć ze swego cudownego odkrycia? To może być bardzo prawdopodobne.

– Wczoraj przechodzący tędy vaquero¹ poinformował mnie, że żona Arellanosa umarła i choćby nawet znała tę tajemnicę, a nawet ujawniłaby ją swemu synowi...

– Czy Arellanos pozostawił syna?

– Przybranego syna – odpowiedział Cuchillo – bowiem młodzieniec nie zna swoich rodziców.

Don Estevan okazał mimowolne poruszenie, które natychmiast powściągnął.

– Ten młodzian musi być synem jakiegoś biedaka z tej prowincji – stwierdził obojętnie.

– Wcale nie, gdyż jest urodzony w Europie, prawdopodobnie w Hiszpanii.

Arechiza pogrążył się w przejściowej zadumie. Jego głowa zawiesiła się na piersi jak u człowieka, który w swoim umyśle usiłuje przypomnieć sobie rozproszone daty.

– Tak przynajmniej mówił dowódca angielskiego brygu wojennego – odezwał się Cuchillo – który przybył do Guaymas w 1811 roku. To dziecię, mówiące zarazem po hiszpańsku, jak i po francusku, zostało zabrane po krwawej bitwie stoczonej przeciw francuskiemu

¹ *Vaquero* (hiszp.) – pastuch krów w Ameryce Łacińskiej; jego odpowiednikiem w Ameryce Północnej jest kowboj.

kutrowi. Majtek, bez wątpienia jego ojciec, został zabity albo wzięty do niewoli. Wreszcie dowódca, nie wiedząc, co robić z tym młodym chłopcem, oddał go Arellanosowi. Ten zrobił z niego mężczyznę, gdyż na honor, chociaż jest młody, ma reputację nieomylnego rastreadora¹ i nieustraszonego poskromiciela koni.

Hiszpan zdawał się nie słuchać Cuchilla, a przecież nie tracił jednego słowa z tego, co powiedział. Być może jednak usłyszał wystarczająco dużo, albo też ten przedmiot rozmowy był dla niego niewygodny, ponieważ nagle przerwał bandycie:

– Sądzi pan – rzekł – że jeżeli ten nieomylny rastreador, ten nieustraszony ujeżdżacz koni zna tajemnicę swego przybranego ojca, to nie może być dla ciebie niebezpiecznym konkurentem?

Cuchillo wyprostował się dumnie.

– Znam człowieka, który w niczym nie ustępuje Tiburcio Arellanosowi w tropieniu i osławianiu dzikich koni, a przecież czy ta tajemnica w jego rękach jest prawie bezużytecznym sekretem, skoro sprzedał go za jedną dziesiątą jego wartości?

Ten ostatni argument Cuchilla był wystarczająco mocny, by przekonać don Estevana o niezaprzeczonej prawdzie, to jest, że Złota Dolina otoczona przez indiańskie plemiona, jak to przedstawił meksykański bandyta, była dostępna jedynie dla znacznych sił i że tylko on mógł dysponować dostateczną liczbą ludzi potrzebnych do jej zdobycia.

Hiszpan myślał i milczał. Rewelacje Cuchilla dotyczące syna Marcosa Arellanosa odsłoniły jego oczom inny wątek myśli pochłaniających wszelkie inne. Dodajmy w tym miejscu, że z powodów, na których wytłumaczenie nie nadszedł jeszcze czas, usiłował odgadnąć, czy Tiburcio Arellanos nie był młodym Fabianem de Mediana.

Cuchillo ze swej strony zastanawiał się nad pewnymi faktami z przeszłości dotyczącymi gambusino Arellanosa i jego adoptowanego syna, o których nie wspominał z ważnych przyczyn. Żeby jednak ta historia od samego początku mogła toczyć się, pozbawiona o tyle,

¹ *Rastreador* (hiszp.) – tropiciel śladów.

o ile się da powrotów do przeszłości, Czytelnik musi zapoznać się z tymi minionymi faktami.

Cuchillo, jak powiedzieliśmy, często zmieniał swoje nazwisko. Pod jednym z tych przybranych, które tak szybko zużywał, bandyta znajdował się w Tubac, kiedy spotkał się z nieszczęśliwym Arellanosem i połączył się z nim. Gdy ten ostatni przed rozpoczęciem nowej i niebezpiecznej wyprawy wrócił do presidio, by zobaczyć się z żoną i młodzieńcem, którego kochał jak własnego syna, jedynie kobiecie zwierzył się z celu swojej wyprawy, a nawet pozostawił jej dokładny plan marszruty wyprawy. Cuchillo zresztą o tym nie wiedział.

Jednym faktem, który starannie przemilczał, było to, że on sam, ujrawszy Złotą Dolinę, zamordował Arellanosa, by tylko dla siebie zagarnąć skarby, jakie się w niej znajdowały. Widzieliśmy, jak z kolei on został zmuszony do ucieczki. Nie stracił jednak owocu swej zbrodni, ponieważ tylko on skorzystał na sprzedaży swej tajemnicy. Pozostawmy teraz bandycie samemu wypełnić wąską lukę i wyjaśnijmy, w jaki sposób poznał syna Arellanosa.

– Niemniej – powiedział Cuchillo, przerywając milczenie – chciałem się uwolnić od wszelkich obaw. Powróciwszy do Arispe, popytałem o miejsce zamieszkania Arellanosa i udałem się do wdowy po nim, aby powiadomić ją o śmierci biednego Marcosa. Oprócz rozpaczy, jaką okazała na tę wiadomość, nic nie dostrzegłem, ani nic nie podejrzewałem, co mogłoby mi powiedzieć, że nie jestem jedynym posiadaczem tajemnicy, którą panu ujawniłem.

– Łatwo się wierzy w to, czego się spodziewamy – stwierdził Arechiza.

– Posłuchaj, señorze Estevan – odpowiedział – są dwie rzeczy, z których jestem dumny, a mianowicie z tego, że moje sumienie jest łatwe do zatrwożenia i że trudno uniknąć mojej przenikliwości.

Hiszpan nie zgłaszał dalszych zastrzeżeń. Bez wątpienia był przekonany nie co do sumienia, ale co do przenikliwości bandyty.

Jeśli chodzi o samego Tiburcia Arellanosa, uważamy za zbędne dodawać to, czego Czytelnik już się domyślił, to znaczy, że ten młodzieniec nie był nikim innym, jak Fabianem, ostatnim potomkiem

hrabiów de Mediana. Cuchillo wyjaśnił, jakim sposobem angielski bryg, zwycięzca francuskiego kutra, przewiózł go, zabrawszy do niewoli kanadyjskiego majtką do obcej krainy. Tam, odtąd bez przewodnika, który mógłby odnaleźć jego rodzinę, wydziedziczony z majątku swego zamożnego i szlachetnego domu, sierota po tych, którzy chronili go w dzieciństwie i młodości, posiadał jedynie to, co mają najubożsi w tym kraju: konia i chatę z bambusa.



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!